

KAMENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Z dziejów ratusza chełmskiego • Chełmski kalendarzyk historyczny • Ludowe pieśni miłosne Ziemi Chełmskiej • Onorato Faltissimo poeta • Folklor, który zaginął • Płomienie i popioły • Dziś i jutro biblioteki • I in.

KARIERA KREDOWEJ GÓRY

ADOLF LEKKI

LITERACI i publicyści wydeptali już własne ścieżki na chełmskich chodnikach. Przenieśli oni na łamy szpalt „wysokie kominy nad kredową górą, nowe bloki mieszkalne, asfalt na głównej arterii miasta i koczujące lby w zaułkach. Sentyment dawnych lat. Chełm pierwszy skrawek wyzwolonej Ojczyzny! Chełm miasto PKWN!”

Wybaczenie złości zawartą w pytaniu: jakie korzyści odniósłby Chełm ze swoich tradycji, gdyby nie kariera, jaką zrobił na kredowej górze?

PROBLEMY TECHNICZNE...

Kiedy przed paru laty zwiedzałem po raz pierwszy cementownię w Chełmie, nie miała ona jeszcze tak charakterystycznego — dla tego typu zakładów — wyglądu. Szary pył nie pokrywał budynków, olbrzymie cieleśka młynów leżały nieruchomo, a cały teren był jednym wielkim placem budowy. Ale już wtedy wiadomo było, że rośnie tutaj największa w kraju cementownia, że jej roczna produkcja po całkowitym rozruchu będzie większa niż całego opolsko-groszowickiego zagłębia. Sekretarz zakładowego komitetu partyjnego, oprowadzając mnie po terenach budowy, nie skąpił cyfr: ilu robotników zatrudniać będzie zakład, ile mieszkań zbuduje się dla nich, jak rozwiązany zostanie problem komunikacji.

Po raz drugi odwiedziłem cementownię w końcu ubiegłego roku podczas konferencji partyjno-ekonomicznej poświęconej sprawie korekty planu produkcyjnego. Przez kilka dni byłem jednym z pracowników, poznałem załogę, jej osiągnięcia i trudności. Moim nieocenionym przewodnikiem po skomplikowanych problemach cementowni był główny technolog, inż. Roman Kubicki.

Konferencja partyjno-ekonomiczna miała wtedy rozwiązać kilka niezmiernie istotnych spraw. Cementownia Chełm zbudowana jest na obfitych pokładach kredy, więc z tym podstawowym surowcem nie ma żadnych kłopotów. Nicco inaczej jest z marglesem, który w ca 50 proc. sprządać trzeba z pobliskiego Rejowca. Trasa transportu wiedzie przez dwa węzłowe punkty stacyjne, co w poważnym stopniu ogranicza obieg wagonów. Jak zabezpieczyć surowiec dla sześciu pieców obrotowych, jak wykonać plan z niedoświadczoną jeszcze załogą, uporać się z brakiem części zapasowych?

Śluchałem obrad uczestników owej konferencji i mimo wszystkie ich kłopoty przyznawałem słuszność starszemu ekonomistom działu planowania, Stanisławowi Najmanowi: „To są trudności wzrostu” — powiedział. Zgoda na to określenie.

Przed paru dniami znów odwiedziłem cementownię. W biurze głównego technologa te same znajome twarze lecz inne niż dawniej problemy. Zakład zatrudnia obecnie około 1200 pracowników, a jego produkcja

Znaczną część numeru 16 „Kamień” poświęcamy Chełmowi w związku z 960-leciem miasta, w którym przed 28 laty powstało nasze pismo.

Czytelnicy znajdą tu artykuły związane z dzisiejszym Chełmem, tak pięknie rozwijającym się dzięki wysiłkom ludzi, którym to miasto jest bliskie, wiersze poetów, którzy tutaj stawiali swoje pierwsze kroki, i reprodukcje miejscowej grafiki.

W numerze I „Kamień” we wrześniu 1933 r., redaktor powstającego miesięcznika wyraził w rubryce „Pro domo sua” pod adresem Chełma kilkanaście życzeń. Na ogół były one skromne. Nie przewidział ani wybudowania przystanku kolejowego w samym mieście, ani powstania cementowni, ani autobusowej komunikacji miejskiej i gęstej sieci PKS, ani regulacji Uherki, ani lamp jarzeniowych na ulicach.

Cieszymy się, że nie tylko spełniły się dezyderaty: „żeby biblioteki chełmskie miały więcej abonentów i książek”, „żeby do Chełma częściej zaglądały dobre zespoły artystyczne”, „żeby miejscowi amatorzy nie marnowali swego talentu na bezwartościowe sztuczki”, „żeby miasto wystawiło na ulicach skrzynki do śmieci” i in., ale że Chełm ma wszelkie dane, aby na swe tysiąclecie stać się, zgodnie z zakończeniem ówczesnego apelu, „miastem prawdziwie europejskim”.



Z HISTORII BUDOWY CEMENTOWNI CHEŁMSKIEJ (1959)

55 lat w służbie książki

ANDRZEJ
K. PIWOWARCZYK

W 1959 r. redakcja „Informatora Bibliotekarza” zwróciła się do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chełmie z zapytaniem, czy obecna biblioteka jest kontynuacją poprzedniej założonej w 1920 r. i czy w 1960 r. będzie obchodzony jubileusz 40-lecia. Nie można było wtedy zaspokoić ciekawości kolegów z Warszawy. Oprócz jedynej pozycji z publikacji Ksawerego Świerkowskiego* nie mieliśmy nic na poparcie przypuszczenia o 40-leciu istnienia naszej placówki. Jednak ciekawość ta trafiła na podatny grunt. Obchodzono wtedy w kraju kilka jubileuszów większych i mniejszych bibliotek. Biblioteka chełmska nie wydawała się być młodszą.

Docent Ksawery Świerkowski nie był w stanie wskazać materiałów źródłowych, które mogły wyjaśnić sprawę. Udzielił nam wskazówek, jak się zabrać do rzeczy. Pierwsze ślady wskazał nam także nieoceniony Dział Informacyjno-Bibliograficzny WIMBP m. Łopacińskiego w Lublinie. Poszukiwania poszły trzema torami. W Powiatowym Archiwum Państwowym w Chełmie w zespole akt Magistratu m. Chełma jest kilka teczek, które wyjaśniły parę szczegółów z okresu międzywojennego dwudziestolecia. Żyją jeszcze starsi mieszkańcy miasta, którzy to i owo pamiętają. Jednak najważniejsze dane znaleźliśmy w zbiorach czasopism WIMBP.

W lubelskim „Kurierze” (nr 160 z 6 lipca 1906 r.) znalazł się artykuł „W sprawie czytelnicy publicznej w Chełmie” podpisany jak następuje: M. P. Orsetti. Świerże w Chełmskim. 1 lipca 1906 r.

Autorka zawiadamia że 29 czerwca „pomimo różnorodnych trudności zostało zawiązane w Chełmie Koło Macierzy Polskiej”, szeroko uzasadnia ważność księgozbiorów i czytelnicy publicznych dla sprawy oświaty ludowej i kończy prośbą, „by Sz. czytelnicy ewentualne dary książkowe dla czytelnicy w Chełmie raczyli składać w jednej z redakcji lub w księgarni W. Pana Piotrowskiego w Chełmie, możliwie w ciągu bieżącego miesiąca”. I dalej, przynajmniej na razie, nic nie wiadomo.

Dopiero „Ziemia Lubelska” (nr 273 z 6 czerwca 1916 r. s. 2) w sprawozdaniu z działalności Uniwersytetu Ludowego w Chełmie podaje następującą rewelację (dla nas oczywiście):

„Biblioteka składa się obecnie z 800 tomów, dzieł z rozmaitych dziedzin nauki (głównie historycznych), oraz beletrystyki. Zaczątkiem biblioteki była pozostałość po księgozbiórze dawniej Macierzy Szkolnej w ilości 400 tomów. Pozostałe książki zostały zakupione przez Zarząd Uniwersytetu oraz złożone przez ofiarodawców. Książki wypo-

* K. Świerkowski: „Dziesięć wieków książki”. Chronologia. Państwowy Instytut Książki, Łódź. 1949, s. 48; 1920 — Biblioteka Publiczna Miejska w Chełmie.

(Dokończenie na str. 2)

Dokończenie na str. 2)

BYT I WARUNKI PRACY ROBOTNIKÓW W PRZE- MYŚLE CUKROWNI- CZYM KRÓLESTWA POLSKIEGO

DANE ANKIETY ZWIĄZKU ZAWODOWEGO ROBOTNIKÓW
CUKROWNI KRÓLESTWA POLSKIEGO

OPRACOWAŁ

B. WAŚNIEWSKI.



Grupa
Dzielnica

No 488

WARSZAWA

NAKLĄDEM ZWIĄZKU ZAWODOWEGO ROBOTNIKÓW CUKROWNI KRÓL. POLSK.
SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF W WARSZAWIE
G. GEBETHNER I SKA W KRAKOWIE.

1911.

KARIERA KREDOWEJ GÓRY

(Dokończenie ze str. 1)

(wspólnie z cementowniami w Rejowcu) sięga 1,5 mld ton rocznie. Sensacją ostatnich dni jest osiągnięcie miejscowych inżynierów i technologów. Po wielu próbach udało się im wyprodukować cement oznaczony nr 500. Dotychczas produkowano wyłącznie cement hutniczy „250” i tak zwany portlandzki „350”.

...I POCODNE

Gdy syrena oznajmia koniec pracy, z bram cementowni wylewa się tłum ludzi. Motocyklami, rowerami, autobusami MPK i zakładowymi środkami lokomocji zdążają robotnicy do swych domów. Można ich spotkać na ulicach i na drogach wiodących do okolicznych wsi. Ten widok nie pozwala zapomnieć, że cementownia jest częścią składową Ziemi Chełmskiej, że jej istnienie i rozwój nie pozostaje bez wpływu na życie miasta i powiatu.

Wraz z uruchomieniem cementowni Chełm otrzymał szansę, by z miasteczka powiatowego przeobrazić się w duży ośrodek przemysłowy. Przyznać trzeba, że mieszkańcy umieją tę szansę wykorzystać.

Założenia wieloletniego planu perspektywicznego przewidują wzrost Chełma do siedemdziesięciotysięcznego miasta. Obok istniejącej cementowni powstaje ma druga — „Chełm II”, powstanie szereg drobnych zakładów nieodpornych w dużym mieście. Te całkiem realne, a niezbyt odległe plany dyktują dzisiejszym gospodarzom miasta pewne nakazy. A więc budownictwo mieszkaniowe, wytyczenie nowych tras komunikacyjnych, zieleńce, urządzenia socjalne i kulturalne, przygotowanie odpowiedniej liczby szkół itp.

Nie są to sprawy proste, jeśli się weźmie pod uwagę, że posiadane fundusze są naprawdę skromne. Mnożyć je trzeba wysiłkiem społecznym, wy-

konywaniem pewnych prac czynami społecznymi. I tu właśnie widać najlepiej wpływ dużego zakładu produkcyjnego na świadomość mieszkańców. Swój program prac społecznych chełmianie wykonują z nadwyżką. Źródła inicjatywy społecznej poza zmianami ekonomiczno-społecznymi doszukiwać się trzeba także w dobrej pracy rad narodowych, Instancji partyjnej i różnych organizacji społecznych.

DZIEŃ DZISIEJSZY

Powiat chełmski, mimo iż nie został wytypowany przez władze centralne do prowadzenia eksperymentu polegającego na uczynieniu ze szkół ośrodków pracy kulturalno-oświatowej na wsi, samorzutnie podjął ten eksperyment i osiągnął wyniki, którymi nawet nie może się poszczycić eksperymentujący „na zamówienie” powiat lubartowski. Jak do tego doszło — to oddzielny temat wart podjęcia choćby dlatego, że może służyć przykładem dla innych.

W ostatnim czasie miasto i powiat chełmski osiągnęły również najwyższy na Lubelszczyźnie wskaźnik czytelnictwa prasy oraz częstotliwości odczytów organizowanych przez TWP i komisję koordynacyjną do spraw upowszechniania kultury.

Ożywiona działalność przejawia powstanie półtora roku temu Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej. Prowadzi ono prace badawcze regionu chełmskiego, w różnorodnej formie ukazuje jego tradycje i perspektywy przyszłości.

Z inicjatyw społecznych, z jego postulatów i chęci działania narodził się także chełmski plan obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, a w jego ramach plan „Dni Chełma”, które będą obchodzone od 1 do 10 września br.

960 lat! Niezbyt to „okrągły”, choć naprawdę piękny jubileusz. Na uwagę zasługuje fakt, że całość obchodów 1000-lecia oparta została na podłożu społecznym, że za podstawę obchodów przyjęto rozwinięcie różnorodnych czynów społecznych w zakresie budowy szkół, dróg, zakładania zieleńców. Klędac wielki nacisk na tę stronę obchodów organizatorzy nie pominieli innych prac, a mianowicie badawczych, wydawniczych, akcji odczytowej, ochrony zabytków, organizowania wystaw itp. Uchwala Prezydium Miejskiej Rady Narodowej z 10 września ubiegłego roku, poza uroczystą proklamacją 1961 roku jako 960 rocznicę powstania miasta, zawiądywała organizowanie „Dni Chełma” rokrocznie przez cały czas trwania obchodów 1000-lecia.

(Dokończenie ze str. 1)

zycza się bezpłatnie za zastawem 50 hal. od tomu. Abonentów jest 220, w czym prawie 50 proc. stanowi młodzież szkolna. Biblioteka jest czynna 3 razy tygodniowo. Frekwencja dzienna waha się między 50—90 abonentami.

Z biblioteką połączona jest czytelnia pism, składająca się z dzienników i tygodników”.

Bibliotekarką była niejaka pani M. Skawińska. Z tego samego sprawozdania wiadomo, że liczba słuchaczy na kursach organizowanych przez Uniwersytet dochodziła do 150. Porównując to z liczbą „abonentów” mamy podstawę do stwierdzenia, że chodziło tutaj o bibliotekę w całym tego słowa znaczeniu publiczną. A fakt, że księgozbiór zawiera książki pozostające z 1906 r. (bo w 1907 r. Polska Macierz Szkolna musiała przerwać działalność na skutek zakazu władz), każe datować początek biblioteki na rok 1906. Wiele z tych książek znajduje się w dzisiejszym księgozbiórze Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chełmie.

W 1920 r. natomiast, jak podaje chełmskie „Zwiercadlo” (nr 46/120 z 1925 r.), bibliotekę zajął się Magistrat Chełma. Ministerstwo W.R. i O.P. na wiosnę tego roku przekazało dla chełmskiej biblioteki około 2.000 tomów, a 18 czerwca otworzyło ją dla publiczności.

Opieka miasta nad biblioteką różnie wyglądała. Bywały lata, w których z budżetu miejskiego nie wydatkowano ani grosza na jej utrzymanie i na zakup nowych książek.

W 1939 r. księgozbiór liczył około 5.000 tomów. Czytelników na dzień 1 kwietnia tegoż roku zanotowano 477.

55 lat w służbie książki

Władze okupacyjne zarządziły zamknięcie biblioteki, usunięto „książki wszystkich autorów niepochlebnie wyrażających się o sprawach niemieckich” — jak mówi sprawozdanie dla Zarządu Miejskiego z 25 sierpnia 1944 r.

Władze wyzwolonego Chełma bardzo wcześnie rozpoczęły starania o reaktywowanie biblioteki. 4 sierpnia 1944 r. przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Chełmie Stanisław Gutt podpisał ogłoszenie o uruchomieniu biblioteki i prośbę o zwrot wypożyczonych przed wojną książek, których „oporni” czytelnicy nie chcieli zwrócić na żądanie okupanta.

Dzisiejszy księgozbiór liczy prawie 30 tys. woluminów. Rok 1960 zamknięto cyframi — 3.029 czytelników i 94.952 wypożyczenia.

Niewątpliwie księgozbiór Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chełmie, który ma coraz większą wartość naukową i artystyczną, jak i niektóre imprezy organizowane przez bibliotekę, zajmują coraz poważniejsze miejsce w życiu kulturalnym Chełma.

Andrzej K. Piwowarczyk

Z DZIEJÓW RATUSZA CHEŁMSKIEGO

STANISŁAW SKIBIŃSKI

W DAWNYCH wiekach — obok budowli sakralnych — ratusze miejskie należały do najokazalszych budowli, wielkości i piękno ich świadczyły o zamożności i kulturze miast. Z ryciny Teodora Rakowieckiego zamieszczonej w półmierzonym wydaniu dzieła Jakuba Suszy pt. „Koronacja cudownego obrazu M. B. Chełmskiej” (Berdyczów 1780), widzimy, że niewielki i ubogi Chełm szczycił się dość okazałym ratuszem z wieżą i zegarem.

Chełmski ratusz przestał istnieć około 110 lat temu i nie zachowało się wiele materiałów źródłowych do jego dziejów, najstarsze z nich sięgają początków XVII wieku. Ograniczają się one najczęściej do wzmianek o ratuszu z okazji innych spraw. Jednak i one są interesujące.

W dokumencie z 1619 r. czytamy: „miara albo korzec, w którą powinno wchodzić garnców sześćdziesiąt i czterech, na którą miarę albo korzec kłoda ma być wylobiona pod Ratuszem, według porządku innych miast”. Inny dokument z 1633 pozwala nieco rozszerzyć wiadomości o nim: „My bur-

mistrze i rajce miasta Króla Jegości — Chełma, oznajmujemy komu należy to wiedzieć, iżśmy oraz dawali Ratusze Chełmskie sławnym panom — Mikołajowi Popowiczowi ławnikowi i mieszczanom chełmskim od śródpościa blisko przeszłego na trzy lata zupełne, rok po roku po sobie następujące, a takowego ratuszowego arenda rozpoczyna się w roku terażniejszym 1633 (—) za sumę półtora sta złotych polskich. (—) W tym tedy Ratuszu powinni będą przereczeni arendarze szynkować: mazią, dziegciem, owsem, sianem, skórą, świecami i inszymi statkami do wozów, gościom przytależącymi nie będzie wolno (handlować)”.

Na początku czerwca 1638 r. w wielkim pożarze miasta spalił się i ratusz wraz z zegarem i dwoma dzwonami. Z zażalenia wniesionego przez mieszczan na biskupa Metodego Terleckiego wynika, że przygotowywano się w 1639 roku do odbudowy ratusza; „(—) Z której góry kamienie na palenie wapna do murów miejskich, do kościoła i Ratusza kopano, gwałtem odjął i używać na potrzebę miejską mieszczanom nie dopuszcza, a sam Zydem i inszym mieszczanom kamienie łamać za pieniądze pozwala i wapno gotowe sprzedaje”. Nie wiadomo, kiedy odbudowa ratusza została zakończona, gdyż następna wiadomość z 1676 roku dotyczy innych wydarzeń: „Czeladnik imci pana Mikołaja Zdanowskiego namiestnika teje Chorągwi z gołą szablą za jednym Zydem ubogim wpadł do ratusza miejskiego, tamże tegoż Żyda ubogiego gołą szablą płażował, ranil przy Congregacye panów burmistrzów i mieszczan dla potrzeby miejskiej zgromadzonych i tam onego bijąc w rękę ranil, stół porąbał, do sklepu drzwi wybił i tam do sklepu za Zydem wbiegł”.

Dwa lata upłynęły od czasu podjęcia przez Sejm uchwały ogłaszającej lata 1960—1966 okresem obchodów Tysiąclecia. Dla Chełma były to lata pracowite. Obok efektów gospodarczych, wspomnianych już wyników w działalności kulturalno-oświatowej, na podkreślenie zasługuje ponad piętnastomilionowy czyn społeczny. W jego ramach oddanych zostało do użytku 9 szkół, w tym 6 pomników Tysiąclecia, powiat i miasto wzbogaciło się o dalsze kilometry dróg, o nowe świetlice i inne obiekty kulturalne. Można bez przesady powiedzieć, że w tym względzie powiat chełmski wysunął się na czoło nie tylko w naszym województwie

MŁODY chełmski zecer Jacek Zajaczkowski, który w chełmskiej drukarni „Zwiercadlo” składał słowa pamiętnego Manifestu PKWN, nawet nie przypuszczał, jak ścisły związek będą one miały z jego rodzinnym miastem, że z nich weźmie swój początek ekonomiczny i społeczny awans Chełma. Dziś jego koledy składają w tej samej drukarni tekst jednodniówki „Ziemia Chełmska”, obok gmachu, w którym przez dziesięć dni mieścił się pierwszy rząd Polskiej Ludowej, wyrosło nowe osiedle robotników cementowni. Awans kredowej góry stał się faktem dokonanym.

Adolf Lekki

(Dokończenie na str. 3)



Zenon Waśniewski — Motyw z Chełma (linoryt)

LUDOWE PIĘŚNI MIŁOSNE ZIEMI CHEŁM- SKIEJ

LONGIN
JAN
OKOŃ

zwrotek i przedstawia także tragiczne losy chłopki uwiedzionej przez dziedzica. Oto sześć ostatnich strof:

— Zrywam kwiaty, wietrze,
i motyle łowię,
zaniósę mateczkę,
o cierpieniach powiem.

Ona w grobie leży
i na pewno nie wie,
że mnie dziedzic podty
skrzywdził w srogim gniewie.

Ze mnie wianek zabrał,
z wioski precz wygnał,
żyję w ciężkim głodzie
i okropnej nędzy.

Pójdę do mateczki,
kwiaty jej zostawię
i me pierś młode
nożem śmierci skrwawię.

I już będzie spokój,
i już będzie cisza
i nikt już nie będzie
o mnie więcej słyszał.

Wiatry trwożą zdjęty
podniósł się ku chmurom
i zapłakał gorzko
deszczem i wichurą.

Pogodna, żywa, o nikłym zabarwieniu smutku jest trzywrotkowa pieśń spod Świerż, zanotowana także przez autora niniejszego artykułu w roku 1955, nosząca tytuł „Nie bądź gniewliwa”. Oto słowa:

Wiosenny wieczór rozsnuwa cienie
i mruga gwiazdami,
a moje serce miłością żenie
za twymi śladami.

Którędy idziesz o, powiedz, miła,
a wyjdę naprzeciw,
poproszę pięknie, abyś wróciła —
ja kocham cię przecie.

Zbądź gniewy wszystkie i powróć do mnie,
a będziesz szczęśliwa,
Rozpogódź lica i pomyśl o mnie
i nie bądź gniewliwa.

(Dokończenie na str. 9)

PIESN od wieków była towarzyszką ludu wiejskiego. Rozbrzmiewała wszędzie: nad polem, gdy chłop w potokach lipcowego słońca zbierał plony zbóż i gdy w szarudze jesiennej wydzierał ziemi bulwy ziemniaków, gdy odpoczywał w dni świąteczne i bawił się na hucznych weselach, gdy wyprawał chrczyny nowonarodzonym i grzebał zmarłych... Wszędzie płynęła pieśń. Raz była pogodna, wesoła i skoczna, a raz znów smutna gorzka i łzawa. Największą popularnością jednak cieszyły się i cieszą nadal pieśni miłosne.

Młodzież wiejska ludu chełmskiego piosenki erotyczne otaczała szczególnym „kultem”. Do uroczych zwyczajów należały wieczorne śpiewy. Grupa dziewcząt i chłopców schodziła się zwykle po pracy, najczęściej na środku wsi i do późna w nocy śpiewała. Zwyczaj ten przetrwał w wielu wioskach po dzień

dzisiejszy. Szczególnie w południowo-wschodnich okolicach powiatu chełmskiego

Wieczorny zmierzch niósł piosenki, których twórcami byli przede wszystkim bezimienni ludowi artyści.

Oto uroczą dumka spod Orchówka, zapisana przez Kazimierza Janczykowskiego w roku 1938, przedstawiająca dolę porzuconej dziewczyny:

Pojechał Jasieczek hen, w daleką drogę,
Porzucił, porzucił swą miłą niebogę.
A ją zła starucha wygnana len zbierać.
— Jak lnu nie ubierasz, masz doma nie wracać
Rwała, rwała, nie zebrała, nie zebrała...
— Obym ja nieszczęsna topolą została.

Inna pieśń nosząca tytuł „Kasia”, zapisana przez niegoż podpisanego w 1954 r., spod Siedliszcza, liczy 12

(Dokończenie ze str. 2)

wy, ażeby tenże Wojciech Radziszewski przez tegoż mistrza ćwiartowany był i ćwierci na czterech palach mają być powieszony.

W 1741 roku spisano tu obszerny dokument o długim i wymownym tytule: „Taxa Dóbr Miejskich, niżej mianowanych, przez Jmciów panów Komisarza Generalnego dóbr wszystkich, burgrabiego Starostwa chełmskiego od Imci pana Wacława na Podhorcach i Rajowcu (!) Rzewuskiego, wojewody podolskiego, chełmskiego i stuleńskiego starosty, dobrodzieja naszego, dla rewizji i pomiarkowania przez różne osoby tak stanu szlacheckiego jako też i duchownego i chłopów różnych wsiów trzymających i onych używających, do tej tacy destynowanych, przy zupełnym Magistracie i całym pospółstwie na Ratuszu chełmskim zgromadzonym uczyniona jest”. Inwentarze spisane w latach 1765 i 1769 krótko mówią: „Ratusz murowany, w którym sądy ziemskie sądzą, mocnej potrzebuje reparacji”, a dalej: „przy Ratuszu kamienica murowana na dwa piętra Imci pana Wojciecha Węgleńskiego kasztelana chełmskiego, pułkownika husarskiego Buławy Polnej Koronnej, jego własnym sumptem wystawiona. Kamienica druga przy tej samej tegoż Imci pana kasztelana chełmskiego, jeszcze nie skończona (—). W samym mieście przeciwko Ratuszu jeden dom katolicki czyli inaczej plac, na którym dom stał, bo tylko zrab izby, dalej zaś obalony, w nim teraz nikt nie mieszka”.

Uniwersał Rady Nieustającej z 1780 roku w punkcie trzecim zajmuje się ratuszem i jego otoczeniem: „Naprawa bruków i murowanego Ratusza, który byby jeszcze dobry i trwały, gdyby popsuły mury, dach, okna, kopułę i inne rekwizyta poręperować i wzmocnić. (—) Ażeby w Chełmie na placu blisko Ratusza będącym w Rynku wymurować kazał podług sposobności miejsca sklepy porządne, w którym by kupcy towarami różnemi handlować mogli”. Z protokołu przeprowadzonej 11 lipca 1787 publicznej licytacji dowiadujemy się, że wydzierżawiono „pomieniony Ratusz, to jest izbę dolną z sklepem, piwnicą i lochem im. panu Józefowi Boguchwałskiemu landwójtowi i Wojciechowi Nowickiemu prezydentowi za sumę złp. 150”.

Najobszerniejszy opis ratusza zawarty jest w protokole strat powiatowych w czasie groźnego pożaru miasta w dniu 4 maja 1788 roku: „Ratusz w środku Rynku będący, murowany na dwa piętra, z wieżą wyniosłą, sklepem murowanym na dole, z izbą jedną z sienią murowaną, piwnicami muro-

Z DZIEJÓW RATUSZA CHEŁMSKIEGO

wanami dwiema, w górze izbą sądową, w której tak sądy ziemskie jako i miejskie landwójtowskie i radzieckie odprawowały się, z skarbem do konserwowania Archiwum miejskiego, z izbetką (!) na tejże górze mieszkalną, kominem jednym, sienią z schodami na ratusz, wieżą turmą sklepioną do utrzymania złoczyńców z drzwiami dobrze okutymi, z basztą murowaną wysoką, na której kopuła nowowystawiona drewniana, dzwonek w tejże kopule, na kopule bania wielka miedziana — pogorzala ze wszystkimi porządkami do izb tak dolnych jako i górnych sądowych potrzebnymi oraz mury ze wszystkim — prócz jednego sklepu — od nawalnego ognia porzpadaly się tak dalece, że nowo restaurować wszystko potrzeba, na którą reparacją aby podług pierwszej egzystencji zostawał Ratusz, najmniej potrzebałożyć expensy dwadzieścia tysięcy”. Wygląd ratusza z okresu poprzedzającego pożar z 1778 roku przedstawiony jest na wspomnianym już miedziorycie T. Rakowieckiego.

Po tym pożarze ratusz chełmski nie został już odrestaurowany i nie przywrócono mu dawnego wyglądu. Remont przeciągał się na długie lata. Według rachunków Kasy Ekonomicznej m. Chełma z 1825 roku za „wyreparowanie Ratusza miejskiego wyplacono Berkowi Kornfeld 944 zł”. Kasa, kancelaria miejska i więzienie miejskie znajdowały się w wynajętym domu Landesa, chociaż plan miasta z 1825 r. wyraźnie oznacza stary ratusz na środku Rynku. Dokumenty z 1845 r. wskazują na starania władz miejskich o zamianę byłego ratusza (w którym wtedy miał siedzibę główny odwach, izba oficerska i areszt wojskowy) na więzienie miejskie. Był też projekt oddania dawnego ratusza Landesowi w zamian za dom, w którym miały siedzibę władze miejskie, jednak władze nadrzędne nie wyraziły na to zgody.

*) Opracowano na podstawie Ksiąg radziecko-wójtowskich m. Chełma nr 1, 2, 3, 5, 8 i 9, Ksiąg grodzkich chełmskich nr 169/26254 i 168/26272, Wyroków ziemskich chełmskich nr 34/19992, Księgi grodzkiej krasnostawskiej nr 8/19727 z Wojew. Archiwum Państw. w Lublinie, rękopisu nr 1319 z Bibl. im. H. Łopacińskiego w Lublinie i akt Archiwum Komisji Rządowej Spraw Wewn. i Policji nr 3278 i 3281 z Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie. (z.VIII.1961).

W czasie ponownego pożaru w 1848 roku ratusz (częściowo odbudowany) znowu się spalił, a władze miejskie jeszcze przed nadejściem decyzji władz centralnych zleciły rozbiórkę wypalonych ruin po dawnym ratuszu Michałowi Erlichowi, który w 1849 r. je rozebrał. Na fundamentach wybudowane zostały sklepy zwane „okrągłak”, które rozebrane zostały w 1939 r., a na

ich miejscu znajduje się obecnie kwietnik. K. Czernicki w swej książce „Chełm — przeszłość i pamiątki” (Chełm 1935) błędnie dopatrywał się resztek ratusza w budynku zwanym „jatką” przy ulicy Rybnej, stąd też wynikają błędne wnioski co do miejsca znajdowania się dawnego chełmskiego ratusza.

Stanisław Skibiński

Widok ratusza chełmskiego z 1765 r. wg miedziorytu T. Rakowieckiego.



Do rodzinnego miasta

Dziś dopiero sobie przypomniałem
— no pomyśleć, wszak to coś straszego!
tyle wierszy już w życiu pisałem,
a o mieście swym ani jednego.

Więc ze skruchą uderzam się w piersi,
bo naprawdę to jest wielka wina:
tu mnie wszyscy oglądali pierwi,
kiedym jeszcze był małym chłopczycą.

I te wszystkie żydowskie okienka,
te cuchnące i brudne rynsztoki
pamiętają, jak byłem maleńki
i kroczkami były me kroki.

Tu był ojciec kochany lekarzem
i mówiłem do niego: tatusiu,
(Czarna płyta dzisiaj na cmentarzu:
moje pierwsze twarde — tak być musi...)

Jakaż radość to była w niedzielę,
gdy mnie ojciec do cyrku brał czasem...
O trapezy, kłowni, karuzele!
O orkiestro, grzmiąca z hałasem!

Nieraz z matką szedłem do kościoła,
gdzie naprawdę mieszkał Pan Bóg wtedy...
(Dzisiaj wiem, że wszędzie na mnie wola,
i w kościele bywam rzadko kiedy).

O poczcie nabożeństw majowych!
Srebrny głosie kościelnego dzwonka!
(I nie przyszło mi wtedy do głowy:
będę wołał kiedyś pieśń skowronka...)

Tu wyrosłem na dużego chłopca
(jest gdzieś moja szkolna podobizna)
tu dławila wrogów mowa obca
i bolało mnie słowo — Ojczyzna.

Przechodziło się z klasy do klasy,
nawet brało się listy pochwalne.
(Dobre były i niedobre czasy...
O duszące mury gimnazjalne!)

O dziecinne me indyjskie skalpy!
O wigwamy gdzieś w dziewiczym borze!
(Dzisiaj kuszą mnie Tatry i Alpy
i błękitne roześmiane morze).

Tutaj były te pierwsze uśmiechy
i z dziewiętych spojrzeń radość pusta,
moje pierwsze, tak niewinne grzechy,
gdym dowiedział się, po co są usta...

A za miastem jest cichy cmentarzyk,
gdzie złożono przeraźliwsze kości,
więc cokolwiek w mym życiu się zdarzy,
tu zostanie część mojej miłości.

Tak. Tu pomnik mój nigdy nie stanie;
nikt nie bywa w swym mieście prorokiem.
Jednak wiem, że nawet w Hindustanie
w stronę Chełma spojrzę łzawym okiem.

1923

CZESŁAW TWARDZIK

Na 55-lecie biblioteki chełmskiej

To jest nieduży, biały, uśmiechnięty domek,
Tutaj gołąb sąsiada przystaje na dachu
I leży co dzień twarze bliskie i znajome
Ludzi, którzy przechodzą z książkami pod pachą.

Nie było tej tabliczki przed czterdziestym czwartym,
Gdy na ścianie „verboten!” warezal — wściekły
[skowył,

Zanim na mur bez tynku granatem rozdarty
Twarda dłoń przykleiła Manifest Lipcowy.

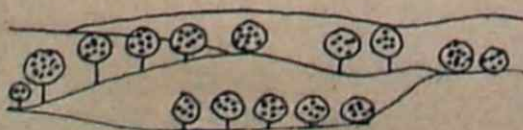
Otwarto drzwi lakome i w pustej zapola
Jak jaskółki sfrunęły z czerwonych bagnetów
Szeleszczące przygodą pagina i folia,
Słowa pachnące farbą jak matczynym mlekiem.

Półki — otwarte klatki dobrego ptasznika,
Tu pulsują w okładkach ciepłe, mądre serca.
Na klawiaturze tomów dłoń Piwowarczycy
Wprawnym pasażem łowi nokturny i scherza.

Siadam. Przysuwam książkę. Wiodę w bój żołnierzy...
Pędzę przez obce kraje, łądy nieodkryte...
Uczęzę w swej komnacie... Jęczę w jakiejś wieży...
I błączę jakimś zawilim ludzkim labiryntem...

A kiedym już powrócił z podróży dalekich —
Ocalały rozbiitek do znanej mizerji,
Znow wchodzę do sezamu cichej biblioteki.

Nową mi jakąś książkę daj, panie Andrzeju.



Pociąg

Ten pociąg będzie stał na stacji,
wieczorem.
Dla mnie miejsce bezpłatne,
na Księżyc, a może na Orion...

Na Księżycu wiem: zimno,
ale blisko na Ziemię...
A na Orionie?
Nie wiem.

Przyjdą znajomi i bliscy
z kwiatów naręczem.
I z żalem wszyscy,
że odjeżdżam...

Nikt nie zapyta dokąd,
bo i po co?
Wiadomo: bardzo daleko
jedzie pociąg...

Po szynach złotych i srebrnych
słonecznych,
w jakieś przestrzenie podniebne,
w wieczność.

1961

KAZIMIERZ EUGENIUSZ
STESZUK

Pierwsza zima

Córca

Wiatr kołysze nocą jak latawcem,
zmiata skrzydłami płyty śniegu.
Mróz wileczymi kłami
gryzie w uszy.
W sadzie
grzmi kanonada pękających drzew,
Słyszysz?
To zima tak ciężko oddycha.

W łóżku
odezwał się cichy, sflumiony
placz dziecka

Nie płacz!
To pierwsza twoja zima,
której śnieżne płyty
niby biel pieluszek
pokrywają ziemię.

Rozehyl dłonie,
w których trzepoce radość,
i słuchaj:
to zima tak ciężko odycha.

1960 r.

CHEŁMSKI KALENDARZYK HISTORYCZNY

- 981 — Książę kijowski Włodzimierz zajmuje Grody Czerwieńskie (wg latopisu Nestora).
1001 — Książę Włodzimierz eryguje na Górze Chełmskiej pierwszą świątynię chrześcijańską (wg „Pergaminowych Ksiąg Lubomelskich”, wspomnianych przez J. Suszę w XVII wieku na podstawie ustnej tradycji). Niezależnie od tego musiał istnieć gród drewniany, którego data powstania nie jest dokładnie ustalona.
1018 — Bolesław Chrobry odzyskuje „Grody Czerwieńskie”.
1073 — Zamek chełmski z drewna, wymieniony przez J. Długosza obok podobnych zamków — Wołyn i Włodzimierz (data podawana w wątpliwość przez niektórych historyków).
1230 — Przybywa do Chełma Daniel halicki, który fortyfikuje i rozbudowuje Chełm (data przybliżona).
1240 — Pierwszy najazd Tatarów i obrona Chełma przed nim.
1242 — Założenie biskupstwa obrządku wschodniego w Chełmie (data przybliżona).
1259 — Wielki pożar grodu chełmskiego.
1359 — Początek (formalny) biskupstwa obrządku łacińskiego w Chełmie.
1386 — Ziemia Chełmska włączona ostatecznie do Korony Polskiej.
1392 — Pierwszy dokument lokacji Chełma na prawie magdeburskim.
1394 — Zamek chełmski gości przejeżdżający dwór królewski Jagielly i Jadwigi.
1473 — Przeniesienie siedziby biskupstwa łacińskiego z Chełma do Hrubieszowa (po wielkim pożarze miasta).
1578 — Wielki pożar miasta Chełma.
1638 — Wielki pożar miasta Chełma.
1788 — Wielki pożar miasta Chełma.
1794 — Bitwa pod Chełmem zakończona klęską wojsk kościuszkowskich.
1848 — Projekty planowej zabudowy miasta Chełma (po groźnym pożarze śródmieścia chełmskiego).
1905 — Początki ruchu rewolucyjnego (1905—1907).
1912 — Carska Rosja tworzy tzw. gubernię chełmską i włącza ją do Królestwa Polskiego.
1928 — Początki budowy Dyrekcji Kolejowej w Chełmie i dzielnicy nowego miasta.
1944 — 22 lipca ogłoszono w Chełmie Manifest P.K.W.N.
1956 — Początek budowy cementowni w Chełmie i nowego osiedla.

(6.VIII.1961).

(s)

LONGIN JAN OKOŃ

Liryka

Ciemny arkusz nieba
upięty złotymi pineskami
opuszczył blisko kaganek księżycy
i świecił moim nocom

A wszystkie moje lilowe zmlerzchy
głębokie północe
i krystalowo - zwiewne przedświt
dzwonią w mosiężne struny
nienazwanej
przedziwnej liryki

Nikt nie zgasi tych lirycznych noc
delikatne
ostre lasceczki nut
wbili się w moje serce
— pieśń zosłanie ze mną na zawsze.

WIERSZE POETÓW CHEŁMSKICH

CZESŁAW MORAWSKI

Nie wiem

Nie wiem
czy jestem dębem
czy modrzewiem
sosną czy wiązem
Wyrosłem kolezastym pędem
i uwiązłem
w mowie
w słowach
obrosłem gałązkami
i listowiem
Zadymilem gryzącym wierszem

WITOLD KASPERSKI

Alinie do pamiętnika wczasowego

Nie udawaj matrony! Jesteś leśnym skrzatem
urodzonym z zieleni i słońca wśród malin,
wykolysał cię słowik a zakwitłaś latem
najpiękniejsza ze wszystkich poetyckich Alin.

Stań przy mnie. W siną przestrzeń odpływa
[Swieradów.
Na polanie przystanął jelen pelen gracji,
wabił go lania w puszcę. Lecz nie patrz na dół!
Leśny diabeł po ciebie wyciąga swe maeki!

Nie wierzysz? W locie ptaków i w kwiatach
[dziewanny,
w cieniu chmur pełzających po stokach Izerskich
tańczą muzy promienne — poetyckie panny
w tańcu starym jak Bakehus, świętym, łobuzerskim.

Więc strzeż się moja śliczna! (Ten wiersz też cie [kusil])
Satyr — szyderca czyha z za każdego świerka,
a gdy tupnie kopytem — do tańca cię zmusi
i popłyniesz przez błękit — niebieska tancerka!
W Swieradowie, w sierpniu 1953 r.

IGNACY IGOŃ-GĄSIOROWSKI

Prośba

Dniu, który idziesz,
nim wytarty w ulic pyłe staniesz się
[WCZORAJ,
przywróć mym słowom woń ziemi,
zapach łąk górskich o świcie;
biednemu sercu poradź,
jak uderzyć w stref mych głuchy
[Iemiesz,
aby nie dzwonem — to zbyt górnie —
lecz pastuszym brzękadłem — kołatką
odezwały się, kiedy na turnie
wzrok pobiegnie brzożową mgieł
[kiadka.

MARIAN NARCYZ LISTOWSKI

Pejzaż nocny

Tu ule dzieci chłopskich
wśród sadów przetwarzają historie.
Pod mostem sierp złoty kosi
bławy gwiazd w nieboskłonie.
Taslemki są białobruklem
szos w cztery strony świata.

Miasteczko rodzinne ulata
wysokim brzegiem wież w ulgę.
A magistrackie zegary
owoce rwą kasztanowcom
— myśli siecią trzepocą
ryb srebrnych herb prastary.

Już byłbym zapomniat prawie,
syn chłopca urodzony w miasteczku,
że nie wypada jak dziecku
sny kosić mi — w Krasnymstawie.

Onorate l'altissimo poeta

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

W dniu 14 września 1321 r. zmarł w Rawennie Dante Alighieri. Tedy na rok 1971 przypada 650-letni jubileusz wielkiego Florentyńczyka. Złoty wiek cywilizacji. Lecz nieroztropnie byłoby cały świat liczyć, że łaskawa natura pozwoli mi z mej strony liczyć, że łaskawa natura pozwoli mi doczekać tej arcyuroczystej rocznicy, wyprzedzam więc ją nieco, korzystając z małego jubileusza (lat 640!), by ostatnim wspomnieniem uczcić skromnie geniusza, którego twórczość opromieniła najlepsze lata mojej młodości.

Jeszcze w przedrewolucyjnym „Sankt-Petersburgu”, jako słuchaczka ówczesnego uniwersytetu dla kobiet, Wyższych Żeńskich Kursów im. Bestużewa, i uczestniczka fascynujących zajęć seminaryjnych pod kierunkiem wybitnego mediewisty profesora Iwana Grewsa, studiowałam długo z zapałem słynny traktat „De Monarchia”. Długo dlatego, że ów laciński opus, w ujęciu historyka z duszą artysty, jakim był Grews, stał się obrastając komentarzami niejako odskocznią, pretekstem do nurzania się w poezji „Boskiej Komedii” i „Życia Nowego”.

Nie lekceważyliśmy przeciw rozprawie „De Monarchia”. Tak, Dante istotnie padł w niej ofiarą złudzenia, że przedsiębiorczy Luksemburczyk Henryk VII, który właśnie w r. 1313 wyruszył do Włoch, będzie żywym dowodem słuszności wypieszczonej przez poetę teorii, upatrującej kres walk skłóconych przez włościan i sporu papieża z cesarzem — w strukturze politycznej o dwóch wierzchołkach, gdzie papież byłby świeckim wasalem cesarza, a Cezar duchowną owieczką namiestnika św. Piotra. Łatwo dziś dostrzec absolutną nierealność tego schematu. Lecz niezależnie od zasadniczych błędów, tkwiących w podwalinach misternej konstrukcji teoretycznej Dantego, irytuje badacza „De Monarchia” zawarta w niej trafna krytyka świeckich aspiracji papieżstwa, a przede wszystkim głębia patriotyzmu i humanizmu, bo o jedność ojczyzny tu szło i o dobro powszechne.

Już na kilka lat przed powstaniem owej rozprawy stworzył Dante swoją piękną „Biesiadę” („Il Convito”), obraz alegoryczny „uczty” zgotowanej ludzkości za pomocą moralnego i intelektualnego samodoskonalenia się człowieka i zamilowania wszystkim do wiedzy. Były to przewidywania, które, rzecz można, przekazywały ponad mającymi nastąpić historycznymi etapami rozwoju stosunków społecznych, niemniej przepami w końcowym celu — szlachetne i słuszne. Toteż



nie stanęły utopie Dantego na przeszkodzie takiej wysokiej ocenie jego znaczenia przez Marksa i Engelsa w Przedmowie do włoskiego wydania Manifestu Partii Komunistycznej: „Na pograniczu średniowiecza i ery nowoczesnej wyrasta postać olbrzyma. Jest to Włoch Dante, ostatni poeta średniowiecza i zarazem pierwszy poeta nowych czasów.”

Ale wróćmy do ściślejszej treści tego, co piszę — do wspomnienia o mieście, gdzie spędził końcowe lata życia Dante Alighieri.

Otóż w przededniu niemal pierwszej wojny światowej wybrało się dwanaście „monarchistek”, tj. studentek badających traktat „De Monarchia” — na sześciotygodniową wycieczkę do Włoch. Było to pomyslane jako pielgrzymka do ojczyzny Dantego. Wyprawie sentymentalno-naukowej przewodził oczywiście profesor Grews, nazywany przez nas zaoczną czujnym mianem „Padre”. Dokompletował on grupę trzema młodymi docentami, biegłymi w problemach architektury, malarstwa i mozaiki, a także trzema studentami, którzy później wyrobili się na wybitnych uczonych.

Podróż nie ograniczyła się, rzecz prosta, do szlaku Dantego, jednak on to stanowił o jej programowości i specyficznym, niepowtarzalnym uroku. I może dlatego jest w mej pamięci jakby nimbem otoczona Rawenna, moje ukochane miasto włoskie, że tam właśnie nie przeszkadza wczuciu się w atmosferę ostatnich lat wielkiego wygnania.

„Hic claudor Dantes patris extorris ab oris...”
Coś w każdym mieście jest widowym znakiem jego obecnej lub dawnej, czy też obecnej i dawnej istoty: drapacze chmur w Nowym Jorku, Luwr, Notre Dame, Montmartre, wielkie bulwary — w Paryżu... Florencja znów ma Palazzo Vecchio, no i pizale Michelangelo, Wenecja zaś — kanały i Rialto, i tuż w pobliżu św. Marka szklaną tandemkę dla turystów...

Rawennie ton nobliwy nadaje niewielkie mauzoleum...

„Tu spoczywa Dante, wygnany z brzegów rodzinnych”.

Wiele czasu upłynęło, zanim niewdzięczna Florencja pocięła upominać się o prochy swego sławnego syna. Rawenna odmówiła. I dobrze się stało. Może skupiona jej cisza jest odpowiednim hołdem cierpieniom niezważonego poety.

Jest to miasto nastrojów paseistycznych. Byłe wielkie miasto: stolica Teodorycha. Dawny ośrodek polityczno-administracyjny i kulturalno-handlowy, niegdyś miasto portowe. Lecz rozproszyli się Ostrogoci, pozostawiając po sobie monumentalny grobowiec króla. I morze, niekiedy niewierne swym brzegom, powoli opuściło Rawennę. A wraz z falami cofały się okręty, unosząc kupców i towary. Wtedy gmachy zaczęły rozpadać się w gruzy, bazyliki śródmięścia znalazły się poza miastem, a całe miasto znalazło się poza szlakiem dziejowym. Nie wiem, czy rozruzały Rawennę późniejsze wydarzenia światowe; kiedy widziałam ją ostatnio przed drugą wojną, była senna i zaniedbana: trawa rosła między płytami bazylik i na bezludziu roztaczały mozaiki San Vitale hieratyczny przepych bizantyzmu.

Więc może dziś jest inaczej, lecz przez długie stulecia w elegijnej harmonii łączyły się losy wielkiego wygnania z losami umierającego miasta.

Znana historia wygnania. Jeżeli wolno jeszcze, a nawet trzeba ją powtarzać, to chyba dlatego, że jednak — zna ją niewielu. A tymczasem historii wygnania powinny być bliskie sercu polskiemu. Zresztą każdemu narodowi, który miał swoich wielkich wygnanców. A którzy ich nie miał? W iluż językach, w ilu rymach przejmujących została wypowiedziana beznadziejna tęsknota do ojczyzny! Wyryla mi się w pamięci taka strofka arcyseptyka Heinego:

*Ich hab ein neues Schiff bestiegen
Mit neuen Genossen, es wogen und wiegen
Die fremden Fluthen mich hin und her —
Wie fern die Heimat! mein Herz wie schwer!*

• „Lebensfahrt” („Pielgrzymka życiowa”). W przekładzie Stanisława Łempickiego brzmi to mniej dobitnie:

„Na nowy okręt ja i towarzysze
Nowi wsiadamy, fala nas kołysze
I rzuca nami w swej wiecznej rozterce —
Kraj mój daleki! ciężkie moje serce”.

Zagubiło się niestety owo „fremden Fluthen”.

(Dokończenie na str. 9)

Widzi mi się

o naszym przyjacielu i gościu

Chyba ze wszystkich prozaików radzieckich Konstanty Paustowski jest u nas najbardziej popularny. Większość jego książek przetłumaczono na język polski i to w poważnym nakładzie 600.000 egzemplarzy. Sama „Kolchida” doczekała się dziewięciu wydań. Te liczby są wymowne. Utwory jego, przeniknięte głębokim humanizmem, pełne liryzmu, zwłaszcza w opisach natury, przyciągają do siebie czytelnika, który znajduje w nich nieraz coś bardzo sobie bliskiego. Pejzaże ukraińskie, ba, nazwy miejscowości, z Kijowem i Odessą na czele, przypominają nam Iwaszkiewicza. Oba pisarze w tym samym czasie uczęszczali do kijowskich szkół średnich, choć nie znali się wtedy. A z prof. Ficowskim, ojcem poety Jerzego, autor „Złotej róży” kolegował jako uczeń.

Obcy pisarze w swych podróżach po Polsce bardzo rzadko zahaczają o Lublin. Ale Paustowski odwiedził nasze miasto, z którym wiąza go żołnierskie wspomnienia z pierwszej wojny światowej. I nieeluzni lublinianie, którzy mieli możliwość zetknąć się z nim przy tej sposobności i poznać tego ujmującego swą prostotą człowieka, jego sympatyczną żonę i pełną wdzięku córkę, zachowują o tym spotkaniu miłe wspomnienia. Do nich m. in. należy pisać te słowa, który (jakie to „bieg czasu” sprawia niespodzianki!) mógł ofiarować autorowi „Kolchidy” nie tylko dokonany przez siebie jej przekład w książce, w czym nie ma nic nadzwyczajnego, ale i pierwsze właściwe tłumaczenie (bo nie liczę straszliwie okrojonego przez wydawcę przekładu z r. 1935) fragmentu tejże „Kolchidy” w majowym

numerze „Kamieny” z r. 1936; a więc jubileusz — 25-lecie spolszczenia.

Paustowski nie mówi po polsku, choć posługiwał się tym językiem jako dziecko w rozmowach z babką, matką matki — Polką, która, jak o tym wspomina w „Dalekich latach”, od upadku powstania styczniowego „zawsze chodziła w żałobie i w czarnym czepku... i od tego czasu ani razu go nie zmieniła”. Babka ta, która „w zadziwiający sposób umiała w sobie łączyć religijność z najbardziej postępowymi przekonaniami”, zabrała kiedyś ośmioletniego wnuczka na odpust do Częstochowy, gdzie, jak pisze Paustowski, miał on po raz pierwszy okazję do zetknięcia się z fanatyzmem religijnym.

W swych wspomnieniach, których ukazały się cztery części („Dalekie lata”, „Burzliwa młodość”, „Początek nowej ery” i „Czas wielkich oczekiwań”) — przekład piątej wkrótce wyjdzie u nas drukiem, wcześniej niż oryginał rosyjski!, Paustowski nieraz wspomina o Polakach i wyraża się o nich z dużą sympatią i sentymentem. Czytelnicy „Dalekich lat” pamiętają zapewne przyjemną postać prefekta księża Ołędzkiego, na którego lekcje religii uciekali nieraz uczniowie prawostawni, chroniąc się przed surowością znielowidzonego katechety Rosjanina — Triegubowa.

A wspomnienia z „Burzliwej młodości”. Nieznajomy starszy w Lublinie — jakiś emeryt, który nad śpiącym na ławce przed dworcem Paustowskim w mundurze otworzył parasol, aby go ostonić przed słońcem, i trzymał go nad nim przez cały czas jego snu. A młode gościnnie małżeństwo mieszkające w chatupie nad Bystrzycą, które Paustowski odwiedził z drugim wojskowym w czasie swej przechadzki nad rzeką lubelską, mylnie nazwaną we wspomnieniach Wieprzem (ten błąd, jak mi mówił, poprawi w najbliższym wydaniu). I jeszcze ten książdz w Terespolu, właściciel biblioteki liczącej dwa tysiące tomów z zakresu historii, który w czasie bombardowania miasteczka i w czasie pożaru odprowadził w nocy mszę żałobną za dusze poległych. Albo ten aktor Groński, naczelnik „Bazy oddziałów sanitarnych”, odważny i lekkomyślny

WACŁAW IWANIUK

Czechowicz

zbliżam się do poezji
biorę jej puls
llecę rylm —
tak niedawno
w mieście którego nie widziałem
od stu chyba lat
byliśmy z sobą
ale wtedy nie wiedziałem o tym —

każdy się uczy
każdy za czymś goni
a ja miałem w pamięci
zwłitek ciemnego pragnienia —
dom na Dobrej, ramiona Róży
i rozmowę z topielcem —
tam od świata półkami oddzielony
mieszkał Eliot — człowiek wieczności

„mały rycerz”, jakby wyjęty z powieści sienkiewiczowskich, choć w mundurze rosyjskim, ale szczerzy patriotą, wierzący w odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Paustowski ma specjalny sentyment do Lublina, który w dedykacji na mojej książce nazwał „przekrasnym”. Miasto nasze z r. 1915 skojarzyło mu się z zapachem wiosennych bzów, z wielkanocną rezurekcją w kościele Bernardynów, z Saskim Ogrodem. Lublin — to miasto, w którym można spokojnie pracować — mówił do mnie. Sam, mając mieszkanie w Moskwie, prawie wcale z niego nie korzysta, bo najlepiej mu się pisze z dala od gwaru metropolii w jego domku w małej Tarusie nad Oką. Chciał teraz wrócić w Lublinie zawędrować na dworzec i zobaczyć te miejsca, które widział czterdzieści sześć lat temu. Nie starczyło czasu.

Pisarz zatrzymał się w Lublinie tylko przez dobę. Miał przed sobą jeszcze długą trasę: Kazimierz, Kielce, Częstochowa, Kraków, Zakopane, wybrzeże gdańskie i jeszcze raz Warszawę, od której swój miesięczny pobyt w Polsce rozpoczął.

X. Rovay

znał się jak każdy czarodziej
na dźwiękach, na roślinach
[i na naszych słowach
układanych z płomieni
[lubelskich wulkanów —

Czechowicz leksyczny
Czechowicz tropikalnie polski
Czechowicz — hejnał plonu
[i sierpniowych dostatków
w nim jak w popleciatym mleczu
ufność rządziła ufnością
a ja przeskakując lata szkolne
[poprzeczki młodości —
wilem wianki świętojańskiej mądrości
lubelszczyzną
jak prasiłowem —

i dlatego dziś
mówię wprost
jawnie i apelująco
jak się mówi do kogoś wyższego
dorastającą równością
do konfesyjonału swoich zażaleń
gdzie siedzi duszpasteryz
kosiarz mlecznych owsów

Czechowicz
(„Milczenia”)

HELENA PLATTA

Esterka

Tak biegła, biegła, biegła —
w aksamitach gestych
aż u jej śniadych pięt
pryskała tebloda.
— już na wzgórze;
krzemień chrząszcz,
leszczyna smagała biodra.
Warkocz

warkocz noy
ramionom czerni odbierał —
w dole miasteczko

plonąc król wyszedł
gasł wrzące żądze w pole:
Esterka

Cisza podbija wizję zamgloną
nabrzmiały stęka sad
jabłoni owocującej obwisły konar,
— pożarów ślad.

Kazimierz, sierpień 1961 r.

FOLKLOR KTÓRY ZAGINAŁ

KONRAD BIELSKI

PISZĘ te wspomnienia, odwołując się do pamięci dawne dzieje, w ten sposób jakoby przeżywałem powtórnie swą młodość, a jednocześnie z przykrością stwierdzam, że to już dużo minęło lat od tej młodości. I z jednej strony oddaję się zdziwieniu, a jednocześnie obchodzę jakieś osobiste bardzo jubileusze i rocznice.

Zamierzałem coś napisać o Kazimierzu nad Wisłą i zaraz przypomniałem sobie, że to już właśnie mija czterdzięci lat, jak zawarłem znajomość z tą uroczą miejscowością. Nie mogę się tu powstrzymać od banalnej pozornie deklaracji, że wtedy już Kazimierz mnie urzekł i do dziś dnia jestem pod jego czarem.

W sierpniu 1920 roku wpadłem na parę dni do Lublina z Kraśnika, gdzie spędzałem wakacje. Spotkałem się przypadkowo z Bobrowskim, który mnie zaprosił do Kazimierza. Tłumaczył, że jest nieodzowną koniecznością, celem pogłębienia mego wykształcenia artystycznego, poznać jak najprędzej Kazimierz. Łatwo dałem się przekonać i niebawem znaleźliśmy się w pociągu wiozącym nas do Puław.

Autobusów wtedy jeszcze nie było. Na stacji czekały staromodne pojazdy i woźnice, starzy, brodaczy Żydzi, przypominali swym wyglądem patriarchów biblijnych. Nie skorzystaliśmy z tego środka lokomocji. W naszym wieku nie wydawało się niepotrzebnie pieniądze na dorożki, mając do dyspozycji młode nogi, a w perspektywie przeszły spacer (14 kilometrów). Poszliśmy piechotą.

Letnia pogoda tego roku była piękna i upalna. Nigdy nie zapomnę tej wspaniałej drogi, jak również wejścia do miasteczka pod wieczór, gdy się już zmierzchało.

*W gwiazdach wygony, baszta, mlecznej drogi nurt.
Miasteczko ma okna z bursztynu
i tak się ukazuje oczom
zawieszona u gór*

jak pisze Czechowicz — tak i mnie się podówczas ukazało.

A potem już nocą, przy pełni, szliśmy przez cudny rynek, gdzie na tle miesięcznego nieba rysował się masyw kościoła i koronki renesansowych kamieniczek, u stóp wzgórz, i uliczkami, i ścieżkami, aż do domu, gdzie czekał nas nocleg. Była to nieduża willa z ciemnego drzewa u podnóża góry, porosłej gęstym starodrzewiem, nad brzegiem maleńkiej rzeczki, która bulgotała i coś gaworzyła przez całą noc. Znacznie później dowiedziałem się, że ten strumyk nosi wspaniałą nazwę: rzeka Grodan.

Tak więc znalazłem się w tej willi, w której prowadził pensjonat państwo Zielińscy. Zieliński miał opinię czarownika. Zbierał bowiem, a nawet kupował muchomory, te tak bardzo dekoracyjne i tak bardzo jadowite. I to bynajmniej nie w celu trucia much. Obgotowywał je, przegotowywał, to w wodzie, to w mleku i w rezultacie otrzymywał potrawę, którą ze smakiem spożywał i nic mu nie szkodziło. Częstował i innych, lecz pomimo że sam dawał przykład, nie udało mu się nikogo skusić. Nie dziwota, że go uważano za czarownika.

W tym „czarodziejskim” pensjonacie mieszkało wielu wybitnych i ciekawych ludzi, jak to zwykle w Kazimierzu. Dla mnie był to jednak natłok wrażeń i pierwsze kontakty z ludźmi spoza mojego środowiska.

Na miejscu na co dzień mieliśmy Mariana Maszyńskiego, Waclawa i Karola Hussarskich i wiele innych jeszcze interesujących osób, skłonnych zawsze do ciekawych rozmów. Wtedy dyskusje były bardzo modne. A wszystko na tle cudownego otoczenia i pięknej letniej pogody. Było jeszcze kilka młodych i ładnych kobiet. Na plaży, na łódkach spędzaliśmy długie godziny. Lub na spacerach wśród wzgórz i wąwozów.

Pamiętam jedną olśniewającą noc księżycową, gdy na górze „Trzeci Krzyż” recytował Karolowi Hussarskiemu swoje utwory.

Hussarski był już pisarzem uznanym, drukował nawet w „Skamanderze”, toteż jego ocena wyrażona w słowach: „no to mamy nowego poetę” — bardzo mnie umocniła na duchu.

Takie były moje pierwsze dni spędzone w Kazimierzu. Zastanawiano się pewnie już nieraz, jaka jest tego przyczyna, że to uroczyste miasteczko i mały krąg pejzażu posiada tak duży krąg wielbicieli, a szczególnie wśród intelektualistów i ludzi sztuki. Ze kto tu raz przyjechał, przyjeżdżać będzie stale. Dlaczego tak na przykład miłw w Bochnicy, który się przecież niczym specjalnym nie wyróżniał, malowany był tysiące razy i to niejednokrotnie przez bardzo wybitnych malarzy (nie ma go już niestety, został spalony i zniszczony podczas ostatnich działań wojen-

nych). A przecież z samych obrazów mających za temat rynek kazimierski z kościołem farnym można by utworzyć niejedną bogatą galerię.

Jaki magnes ciągnie tam ludzi, mimo rażącego prymitywu, braku jakichkolwiek urządzeń kanalizacyjnych i asenizacyjnych, sienników napchanych słomą i twardych poduszek.

Nie wiem, czy istnieje specjalne Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza, lecz wiem, że krąg prawdziwych jego wielbicieli stanowi coś na kształt loży masonskiej, gdzie wtajemniczeni porozumiewają się za pomocą umówionych znaków i gestów niezrozumiałych dla szerokiego rzesz profanów.

Kazimierz przede wszystkim odkryli i rozslawili malarze, literatura „włączyła się” znacznie później.

Pisali o Kazimierzu ze znanych pisarzy Hanna Mortkowitz, Maria Kuncewiczowa, najwięcej i najpiękniej Adolf Rudnicki. On to właśnie starał się odpowiedzieć, na czym polega nieodparty urok Kazimierza: „nie ma w kraju drugiej takiej miejscowości, która tak łatwo przywraca ludziom dar poezji, zachwaszczony wśród codziennych trudów i codziennej bezmyślności”.



CHAGALL — DZIADKOWIE

ci. W godzinę po przybyciu człowiek otrzymuje nowe odwoskowane uszy, przemyte oczy, młode serce... Kazimierz przywraca ludziom dar poezji, którą dyszy każda pięć tutejszej ziemi”.

Tak, to niewątpliwie prawda, aczkolwiek zmieniło się tu wiele, bardzo wiele. Bo, kochani moi, ten Kazimierz, który dzisiaj oglądacie, to nie jest to, co było. Bezwrotnie utracił swój specyficzny folklor i pewnych ludzi.

ŻYDZI kazimierscy. — kto ich widział i znał, tak zrośniętych z tym miasteczkiem, ten dzisiaj patrzy na Kazimierz martwym okiem, jak na puste miasto.

Żydów tych było sporo i stanowili ze starymi murami jedną całość. Mówili po polsku jakimś wspaniałym niepowtarzalnym językiem. Nie było tam nic ze szmoncesu i tak zwanego żydłaczania — coś pośredniego między językiem ludowym a literackim, soczysty i obrazowy i jakiś dostojny w tonie.

„My jesteśmy Żydzi królewscy” — mawiali i mam wrażenie, że wierzyli naprawdę, że Kazimierz Wielki ich właśnie wybrał i osadził tu w Kazimierzu. Mało tego: że im powierzył specjalne sekrety, których z godnością strzegli. I tacy byli odrębni i niepodobni do innych.

W letnie dni, na trawę porośniętych wzgórzach, można było zobaczyć dziewczyny śliczne jak kwiaty, o granatowych włosach i zielonych oczach, w białych sukienkach przypominających krojem tuniki czy chlamidy — jak pasły czarne i białe kozy. Egzotywny ten obrazek wyglądał jakby wyjęty z ilustracji do biblii, Andriolego.

A w piątek wieczorem obchodził wszystkie żydowskie mieszkania specjalny wysłannik z bóżnicy i oznajmiał, stukając w drzwi i okna, że oto nadechł pora szabasu, że natychmiast trzeba przerwać pracę i rozpocząć świąteczne obrządky. I już po chwili we wszystkich oknach zapalały się błyski świec, a z domów modlitwy rozlegały się tęskne zawołania, jedyny w swoim rodzaju. A później, jeśli wieczór był ciepły i pogodny, na progach domostw i na specjalnie wystawionych krzesłach, zasiadały matrony w perukach, strojne w koronki i biżuterię, na widok których znawca i kolekcjoner oniemiałby z zachwyty. Bowiem te precjoza miały za sobą długie lata i pamiętały zapewne jedenastowieczną Hiszpanię. Kto wie, czy

gdzie ich mordowano, nie pokazują się duchy i w nocy nie straszy. Nawet słynne anemony, które wioszą tam kwitną, są nadal niepokalanie białe i mimo tej krwi, co się przelewała, nie przybierają czerwonego zabarwienia.

INNY jeszcze folklor, którego ja pamiętam ostatki, a który wcześniej jeszcze zaginał bezpowrotnie, stanowił urok Kazimierza.

W niedziele, a szczególnie w uroczyste święta i odpusty, zjeżdżało się okoliczne włościanstwo w barwnych swych strojach, a gdy w dodatku wypadały jakieś chrzciny lub wesela u zamieszniejszych gospodarzy, albo odpust, z hukiem zajeżdżały przed kościół furmanki, ozdobione w różnobarwne wstęgi, ludzie wystrojeni odświętnie i też kolorowo. Gwarno się czyniło na rynku. Konie jak smoki woźnice pełni fantazji. Nie śpiewali, te strony Lubelszczyzny nie śpiewają, strzelali tylko z batów i pohukiwali. Nie mniej dekoracyjni Żydzi wychodzili ze swych domów i sklepów, mieszała się z tym tłumem, w jakiś sposób też uczestniczyli w uroczystościach. A za tło do tego widowiska służyły ruiny zamku, baszta i potężny masyw fary.

To wszystko minęło bezpowrotnie. Wprawdzie zajeżdżają i dziś furmanki przed farę, ale ludzie w nich są już inni, umiastowieni i ucywilizowani.

Skoro już jestem przy tych wspomnieniach i wywołuję dawno zamierzające obrazy, pragnę przypomnieć jeszcze jedną osobę, wprawdzie mało znaną i niczym specjalnym się nie wyróżniającą, lecz tak związaną z ówczesnym Kazimierzem, jego murami i jego atmosferą, że nie sposób jej pominąć.

Myślę, że niewielki krąg ludzi znał pannę Klementynę Kwapiszewską i nikt jej już nie pamięta. W tym czasie gdy ja ją poznałem (1921—22), miała już sporo lat, lecz przecież wieku kobiety, a szczególnie panny, nie należy zdradzać. Ubrana była zawsze w suknię czarną, kroju dziewiętnastowiecznego, z koronkowym wysokim kołnierzykiem na szyi lub aksamiłką. Na rękach nosiła mitenki. Mieszkanie jej w starym domu pełne było drobiazgów, starych szyćców, pamiątek. Zajmowała się społecznie prowadzeniem miejscowej czytelnicy. Jej rozmowy z czytelnikami i udzielane porady też warte były zapisania.

Czasem przyjmowała u siebie niechętnych gości. Na nasze usilne prośby, by nam coś zaśpiewała, po długich ceregielach i wymawianiu się, że jest niedysponowana i nie przy głosie, zasiadała jednak w końcu do pianina. Pianino było też bardzo stare, nie różniło się właściwie od klawesynu lub szpinetu. Drżącym głosem, sama sobie akompaniując — zaczynała śpiewać piosenki Bartelsa i jakie piosenki!

*Niechaj Jezus Chrystus będzie pochwalony,
Z wielką alteracją przybywam w te strony,
Jak dokuczliwe insekta,
Serce obsiadły afekta.*

Przez okno zalatywał zapach lewkoni i natury. Zachodzące słońce złośliwie stare mury, stare kamienie. Głos śpiewaczki ożywił się, jakby młodniał. Piosenki (wciąż Bartelsa) mówiły o młodości i o miłości.

*Stach siarczasty dał mi słowo
W różnych hołubcach mazura,
Że mnie już od stóp do głowy
cudnie stworzyła natura.
Ze przedkłada mnie nad charty
i nad brzycki najtyczanki,
Że gotów przestać grać w karty
dla takiej jak ja Kochanki.*

Wcalesmy się nie śmieli. Słuchaliśmy w skupieniu i ze wzruszeniem. Coś podobnego przeżyłem później na przedstawieniu Reduty: „Pochwała wesoloci”, w inscenizacji Leona Schillera.

JERZY KSIĘSKI Martwa natura

Chlebem i atramentem pachnący
— mój drogi i mój ubogi
Brzęk szklanek kołysze cię cieni,
przytuła do matki podłogi.

Stole mój, dlaczego o tobie nie?

Poduszką jesteś zmęczenia,
grających w noże bratnem...
Mój stół mnie codziennie wita
Jak ojciec syna — hulakę.

Chlebem i atramentem pachnący
— ubogi mój i najdroższy
Przez kartkę mruyczysz sękatą:
— I po cóż ten wiersz w środku noży.

Na małym dziedzińcu, w otoczeniu w murach wysokich kamienic i dnem swoim, brudnym i zamiecionym, wpatrzonym w kwadrat zadymionego nieba, poprzez który, jak światliki, przelatwały kłębammi iskry — gromadka dzieci bawiła się w bombardowanie. Było ich kilkoro. Mały, ośmioletni chłopiec, tłusty i pyławy, nadawał głębokie tony lecące śmiercionośnej maszyny. Kiedy uznał, że cel został osiągnięty, wołał: bum, bum, buuum!!! Oznaczało to wybuch. Pozostałe dzieci, widocznie było to umówiony sygnał, zaczynały biegać w kółko i krzyczeć wrzaskliwie w niezwykle niskich tonacjach. Błada dziewczynka wołała: — Kaziu, Kaziu, kładź się na ziemi, jesteś przecież rozerwany na kawałki! Ale delikwent był niezadowolony. Zaczął tupać nogami. — Ja nie chcę być rozerwany na drobne kawałki. Niech bomba Stasia rozerwie albo kogo innego! Dom był prawie pusty. Dozorczyni, stara kobieta, bezradnie kręciła się po dziedzińcu. Przystawała, brała miotłę do rąk, jak by postanowiła zrobić porządek, potem stawiała ją w kącie, znów dreptała i mamrotała coś pod nosem. Większość lokatorów opuściła dom. Dzieci były zbieraniną z całej ulicy. Robiłem obserwacje i nieraz konstatawałem, że dzieci mają niezwykle wyczucie aktualności. Ale ta zabawa wybiegała poza znane szablony. Na tej samej ulicy przed kilkoma godzinami bomby niemieckie zmia-

Twarze orszaku generalnego wyrażały aprobatę dla wypowiedzianych słów. — Myślę, że łatwo go będzie dogonić — powiedział spokojnie. Ucieka w tym kierunku, co i wszyscy... General sprzątał na mnie z ukosa i odwrócił się na pięcie. Poszedłem dalej i skręciłem w małą samotną uliczkę. Idąc, zacząłem wspominać rozmowę, jaką wczoraj w godzinach rannych miałem ze wspomnianym prezydentem. Wszedłem do jego gabinetu. Był sam. — Witam redaktora — powiedział i palcem pokazał na stojącą obok niedużą kasę pancerną. — Tu, w niej, mam lekarstwo na strach i zwątpienie. Przekreślił klucz i otworzył kasę. Wydawał mi się, że powinien zobaczyć jakieś ważne dokumenty, a zobaczyłem kilkanaście butelek... Zestaw był odpowiedzialny. Konfiaki francuskie i renomowane wyroby krajowe. Prezydent drżąc ręką wyjął butelkę i dwa pucharki. — Proponuję gin suchowolski, jest znakomity. — Nalał. — Nie wiem, czy pan, redaktorze, zostaje, czy wieje — zaczął i podniósł szkło do góry. — Ale ja, choćby wszyscy uciekli, zostaję. Tak jak kapitan na tonącym statku. Szalupy ratunkowe dla innych, nie dla mnie! W patetycznym tonie jego wykrzykników czuło się wyraźny wpływ zawartości kasy pancerniej. Ale ostatecznie być może decyzja mogła powstać

SPRAWA bibliotek i czytelnictwa jest ściśle związana z wielkim powszechnym ruchem oświatowym zmierzającym do zapewnienia pełnego rozwoju umysłowego jednostki, podniesienia jej wiedzy ogólnej i kwalifikacji zawodowych — oświaty przygotowania jej do pełnego udziału w życiu społecznym. Tajemnica efektywnej pracy bibliotecznej leży w szerokim i jak najpełniejszym powiązaniu biblioteki z całokształtem życia kulturalnego i społecznego środowiska. Czytelnictwo książek i czasopism jest podstawową pomocą w kształceniu i samokształceniu. Pomimo coraz większego znaczenia radia, filmu i telewizji, tych nowoczesnych środków komunikowania o zdobyciach postępu i wiedzy, nie maleje znaczenie książki jako źródła informacji. Przeciwnie, w dobie szybkiego rozwoju techniki, która coraz bardziej przenika do życia codziennego, pomaga w pracy i coraz częściej eliminuje wysiłek fizyczny człowieka, — książka zwłaszcza popularno-naukowa daje właśnie możliwość umiętnego i praktycznego korzystania z osiągnięć naukowych. Przez długie jeszcze lata książka będzie najpełniejszym i najłatwiej, najwspanialszym dostępnym środkiem przekazywania treści kulturalnych. Niemalże też miejsce zajmuje czytelnictwo jako jedna z form kulturalnego wypoczynku. W woj. lubelskim, wybitnie rolniczym, przy braku większych skupisk, w sieci drobnych i rozproszonych osiedli i wsi doniosła rola przypadających bibliotek, które masowo upowszechniają książkę i uzupełniają ją czasopiśmami. Sieć bibliotek w naszym województwie, organizowana zgodnie z założeniami polityki rozwoju życia kulturalnego, osiągnęła już pokaźną liczbę — 401 placówek, w tym 368 bibliotek gromadzkich. Wszystkie miasta posiadają własne biblioteki, a większe — również filie. Największy rozwój bibliotek gromadzkich (dawniej gminnych) przypada na lata 1956—57, gdy po reformie podzielną administracyjną okazało się, że na 736 gromad przypada zaledwie 245 bibliotek gromadzkich. Wówczas całą uwagę i wysiłek skierowane na organizację nowych biblio-

DZIS I JUTRO BIBLIOTEKI

GENOWEFA MADONIOWA

tek, aby przy względnie oszczędnej gospodarce zapewnić wszystkim mieszkańcom wsi możliwość korzystania z usług biblioteki. Wobec jednak ograniczonych możliwości finansowych placówki te posiadały niedogodne pomieszczenia i minimalne księgozbiory. Lata 1958—1960 — to okres poprawy warunków lokalnych, dalsze tworzenie nowych placówek, wyposażenie ich w sprzęt i księgozbiór oraz umocnienie kadrowe.

Obecnie biblioteki gromadzkie znajdując się w 80 proc. gromadzkich rad narodowych, a pełną sieć przewiduje się na koniec planu 5-letniego. W niektórych powiatach, jak lubelski, lubartowski i puławski, sieć placówek bibliotecznych przewyższa już liczbę gromadzkich rad.

Przeszło połowa jednak wszystkich bibliotek, mimo pewnej poprawy, nie porada jeszcze należytych pomieszczeń. Uzupełnienie sieci stałych placówek bibliotecznych stanowią filie bibliotek miejskich oraz punkty biblioteczne. Trudności lokalowe w samym Lublinie nie pozwalają na należyty rozwój sieci filii na peryferiach miasta.

Punkty biblioteczne w liczbie 1780 rozsiane są w małych wsiach poza siedzibą bibliotek gromadzkich. Liczba ich z roku na rok maleje równolegle ze wzrostem zasięgu działania bibliotek gromadzkich.

Prowadzą je społecznicy zamożni w czytelnictwie i dzięki nim książka dociera do najdalszych zakątków. Ostatnio prowadzenie wielu punktów bibliotecznych przejęli członkowie organizacji społecznych — ZMW, ZHP, OSP, co w znacznym stopniu wpłynęło na ożywienie ich pracy.

W ostatnich latach wzrosło zainteresowanie i pomoc władz terenowych dla spraw czytelnictwa, co uwidoczniło się zarówno w nakładach finansowych na rozwój sieci placówek, jak też na wyposażenie ich w księgozbiór i nowoczesny sprzęt, a także we właściwym stosunku do doboru kadry bibliotekarskiej.

Na przykład w powiecie lubelskim uzyskano dodatkowe fundusze na zakup książek oraz zorganizowanie drogi eksperymentu 30 bibliotek wiejskich stanowiących filie bibliotek gromadzkich. Dzięki poparciu powiatowej rady narodowej i gromadzkich rad narodowych dokonano również w tym powiecie korzystnych zmian w obsadzie stanowisk kierowników bibliotek gromadzkich, angażując na nie pracowników o pełnym średnim wykształceniu, co jest warunkiem zdobycia kwalifikacji bibliotekarskich.

Tak samo korzystną sytuację można zanotować w powiecie puławskim oraz janowskim, który poza tym produkuje obok Opola w wysokości kredytów wydatkowanych na zakup książek w ub. r., wyrażających się kwotą 2,69 zł na 1 mieszkańca, podczas gdy w skali krajowej kwota ta wyniosła 1,60 zł, a przeciętna w województwie lubelskim — 1,13 zł.

Nieliczne są takie powiaty, jak radzyński, który obniżył budżet bibliotek do minimum, przeznaczając na roczny zakup książek dla wszystkich bibliotek w powiecie 17 tysięcy zł, co stanowi 0,12 zł na 1 mieszkańca, lub powiat tomaszowski — 0,66 zł czy kraśnicki — 0,80 zł przy równoczesnym bardzo niskim dotychczasowym stanie zaopatrzenia.

Celem pełniejszej obsługi czytelników zwrócono większą uwagę zarówno na leżbwoy wzrost księgozbiorów, jak też na staranniejszy ich dobór.

Pod koniec r. 1960 biblioteki powszechne posiadały 1.762.000 woluminów, dzięki czemu zaopatrzenie terenu w książkę wynosi 0,98 woluminu na 1 mieszkańca, a powiaty: białski, janowski, lubartowski, parczewski — powyżej 1 wol. na mieszkańca. Roczny zakup wynosił ok. 100—110 tys. woluminów. Zmienia się też na lepsze struktura księgozbiorów, gdzie obok literatury pięknej — ok. 30 proc. ogólnej liczby książek stanowią literatura popularno-naukowa z różnorodnym dziedzin wiedzy. Szczególną przy tym uwagę zwrócono na uzupełnienie księgozbioru pozycjami z literatury technicznej i rolniczej przy równoczesnym

(Dokończenie na str. 8)

PŁOMIENIE I POPIOŁY

WACŁAW GRALEWSKI

żyły dwa domy. Zginęło kilkanaście osób. Rannych przewieziono do szpitala. Cała dzielnica opustoszała. W niektórych mieszkaniach pozostali tylko nieliczni, najbardziej zdeterminowani mieszkańcy, przeważnie biedota. Nie mieli dokąd uciekać. Nie chcieli, mimo wszystko, porzucić swego ubożego dobytku. Byli zrezygnowani i oteplali. Ale dzieci ich wykazały odporność psychiczną. Zdrutgotane, palące się domy, krew i groza nie wnikały w ich świadomość. Z tego, co widziały, brały tylko stronę zewnętrzną i wykorzystywały ją jako nowy temat zabawy.

Może w tej postawie kryje się tajemnica twórczości, przeistaczająca tylko zewnętrzne cechy zjawiska i w ten sposób nadająca im nową treść. Tak często postępuje przecież pisarz. Poeta i dziecko nie dają przystępu do swej jaźni nastrojom niszczącym.

Obserwowanie dzieci oderwało mnie na chwilę, choć to jest paradoks, od okropności z nagła zaczętej wojny. Byłem zmęczony po nieprzespanej nocy. Bezsensownie wynikała ze zderzenia się przeciwstawnych uczuć. Jedno było zwykłym, ludzkim pragnieniem opuszczenia miasta i przeczekania poza nim najgorszych chwil, drugie mówiło o potrzebie wykonania ciężkich obowiązków i wytrzymania pomimo wszystkiego.

Czy wybór tego ostatniego był całym świadomy... nie wiem. W razie przyścia Niemców trzeba było być przygotowanym na najgorsze. A więc exodus byłby usprawiedliwiony.

Wszedłem na ulicę. Nieliczni przechodnie poruszali się nerwowo. Raz po raz spoglądali w górę. Dymy unoszące się ku niebu w wielu miejscach zasłaniały pole widzenia. Właśnie spoza tych kłębowisk mogły znieśc się wystrząsnąć, jak psy z krzaków, samoloty. Tym razem jednak nie było niespodzianki.

Kto hotelu Europejskiego paliły się pogruchochowane taksówki. Atak zaskoczył je na postojach. Jedna z nich stanęła jak koń dęba i tak tkwiła w środku leżą wyrwanego wybuchem.

W przylegającej do Krakowskiego Przedmieścia ulicy Staszica widniała grupa osób — trzech wojskowych i kilku cywili. Poszedłem w ich stronę. Przy zbliżeniu zobaczyłem małego, na krótkich nóżkach, generała, pieniającego się ze złości. Zobaczył mnie i zatrzymał.

— Kto pan jest? — zapytał. — A ha, jest pan dziennikarzem, zna pan miasto i ludzi, to dobrze. Ładnego macie tu prezydenta! Ucieki. Jak wpadnie w moje ręce, to skurwysyna powieszę za...

wcześniej, a alkohol nadał jej tylko koloryt.

Wszedłem z jego gabinetu mimo wszystko trochę podniecony na duchu. Są jednak — pomyślałem — ludzie twardzi i odpowiedzialni.

A nazajutrz... Nazajutrz po gwałtownym rannym bombardowaniu, kiedy bezbronne miasto poniosło znaczne straty, prezydent ogarnięty paniką zabrał miejską straż ogniową i usadowił się na beczkowozie porzucając miasto.

Poczułem gorzki smak na języku. Toastowy gin suchowolski w nagłym wspomnieniu nabrał posmaku zięg ziała.

Czy generał spełni swą groźbę? Dotychczas, zajmując w kraju eksponowane stanowisko, znany był z twardej ręki, gdy chodziło o popularne sprawy higieny.

Wszystko jednak zdarzyć się może. Może więc uciekający prezydent i goniący go (a może też uciekający) general staną oko w oko.

Rozmyślenia przerwał widok dwóch bomb leżących na jezdni. Niewypały. Dużo było niewypałów. Dzięki nim wiele dzielnic miasta ocalało.

Dlaczego taki duży procent bomb nie wybuchał? Czyżby sabotaż, tam w dalekich fabrykach?

A może tylko próba psychologicznego zastraszenia ludności, złamania jej moralnie. Ostatecznie domy były potrzebne dla zwycięzców, a ruiny mogły wkraczającym wojskom nasuwać niepotrzebne myśli co do przyszłości...

Skręciłem znów w główną ulicę i wszedłem do dwupiętrowego domu, w którym umieścił swą siedzibę zaimprovizowany Komitet Obrony Miasta.

Dekretem Głowy Państwa przeniesiono tutaj na prowincję stolicę. Na okres wojny. Dziwna to była stolica. Rząd, który zjechał tu zaraz po rozpoczęciu działań wojennych, znikł teraz jak przysłowiowa kamfora. Wystarczył jeden większy nalot. Widmowi ministrowie i podsekretarze stanu nie zdążyli nawet odbyć bodajże jednego posiedzenia. Wyjeżdżali, kierując się instynktem samozachowawczym. Ale rozbudzili w nowo kreowanym mieście stołecznym jakieś wyższe ambicje. Przejawyły się one w tym, że pewna grupa uznała konieczność zorganizowania we własnym zakresie obrony przed wrogiem. Tak powstał ten Komitet Obrony, w skład którego weszło kilkanaście osób. I ja również znalazłem się w jego łonie.

Wojska na miejscu nie było. Kilkunastu oficerów, kilkudziesięciu żołnierzy z różnych formacji, młodzień-

z Przystosobienia Wojskowego oraz ochotnicy, których w Polsce nigdy nie brak, stworzyli kilkusetosobową, zaimprovizowaną armię. Miała ona stawić czoło zbliżającym się do miasta oddziałom wroga.

Na terenie miejscowego pułku, który w pierwszych dniach wojny wyszedł w pole, w magazynach, znaleziono dostateczną ilość broni i amunicji. Siłę ognia obrońców stanowiły cztery połowe armaty, kilkanaście karabinów maszynowych, ciężkich i lekkich, miotacze min i granatów oraz zwykłe karabiny. Dowództwo objął najstarszy stopniem oficer (artylerzysta). Porzucone i zdane na własne, jakże słabe, siły, miasto postanowiło pokazać, że tkwią w nim zarodki wielkości i że słusnie zostało wyróżnione.

Najędźszy dysponowali trzema zmotoryzowanymi batalionami piechoty, którym towarzyszyły czolgi i zmotoryzowana artyleria. Mieli nadzieję, że jednym skokiem osiągną cel.

W pierwszym ataku stracili kilkunastu zabitych i znaczną ilość rannych. Atak został odparty. Zaczęła się walka i trwała trzy dni.

Przez trzy dni i trzy noce artyleria ostrzeliwała miasto, przez trzy dni i trzy noce usiłowała piechota pod osłoną czolgów złamać opór obrońców. Mieszkańcy zachowali spokój.

W sklepie mięsnym sprzedawano słoninę. Kilkadziesiąt osób ustawiło się karnie w kolejkę. W pewnej chwili rozległy się w pobliżu trzy silne detonacje. To Niemcy rzucili kilka pocisków na śródmieście. Kupujący młody człowiek przysiadł z wrażeń trzy razy. Stara kobieta popatrzyła na niego krytycznie i rzekła jak do syna: — Czemu, chłopczyku, tak tyłkiem klepiesz podłogę?

Młodzian zacerwienił się mocno, coś bąknął i szybko wybiegł ze sklepu.

Trzeciego dnia późnym wieczorem wyczerpała się amunicja. Obrońcy pod osłoną ciemności wycofali się z miasta.

Wczesnym rankiem nieprzyjaciel wkroczył do ambientnego grodu.

Zwycięcy z początku siły rozstrzelali kilkudziesięciu różnego wieku mężczyzn.

Na przedmieściu z małego domku wyciągnęli dwóch młodych chłopców. Zastrzelili ich, a ciała wrzucili do ustępu. Zaczął się nowy ład.

DZIS I JUTRO BIBLIOTEKI

eliminowaniu z półek wydawnictw przestarzałych, nieprzydatnych dla aktualnych potrzeb czytelnika.

W ubiegłym i bieżącym roku w wyniku długotrwałych starań bibliotekarzy, popartych ogólnopolską akcją współzawodnictwa, zorganizowano przy bibliotekach czytelnice, stanowiące podstawę prawidłowego rozwoju czytelnictwa.

Potrzebę uruchomienia czytelnicy rozumieją zarówno bibliotekarze jak i czytelnicy. Sprawy rozbiły się jednak o brak odpowiednich lokali.

W chwili obecnej przy bibliotekach gromadzkich istnieje 28 czytelnicy, z czego najwięcej (6) przypada w powiecie opolskim, gdzie starania Oddziału Kultury i Biblioteki powiatowej znalazły pełne poparcie władz. Województwo lubelskie pod względem liczby czytelnicy znajduje się na jednym z ostatnich miejsc, mimo że czytelnice, umożliwiające pełne korzystanie z bibliotek, podlegają, a szczególnie w encyklopedii i słownikach oraz różnego rodzaju informatorów i szerokiego zestawu czasopism, stanowią nieodzowną pomoc w pracach oświatowych i samokształceniowych, przyczyniając się równocześnie do zwiększenia czytelnictwa.

Liczba czytelnicy zwiększyła się w ostatnim roku o 36.000 osób i wynosi przeszło 216 tysięcy, co stanowi 12,3 proc. ogółu mieszkańców, przekraczając nieznacznie przeciętną krajową (12,1 proc.). Wzrosła również liczba wypożyczeń, która w ostatnim roku wynosi 3.185.091, przewyższając o 12 proc. wypożyczenia z roku poprzedniego. Równolegle zwiększyła się pożytność literatury popularno-naukowej nie tylko wśród społeczeństwa starszego, ale u czytelnicy młodocianych.

STAN ten zawdzięczamy usilnej, systematycznej pracy bibliotekarzy, stosujących różnorodne formy propagandy czytelnictwa.

Niemalże też przyczyniło się do tego przystąpienie bibliotek do ogólnopolskiego współzawodnictwa w latach 1959-60, a w bieżącym roku akcja „Wiedza pomaga w życiu” oraz konkurs wojewódzki „Technika w życiu codziennym”.

Szczególnie dobre wyniki w rozwoju czytelnictwa dało wspomniane współzawodnictwo, którego bezpośrednim celem było podniesienie poziomu pracy i usprawnienie działalności placówek bibliotecznych, oparte na wnikliwej analizie aktualnego stanu i potrzeb.

Bibliotekarze podjęli i zrealizowali cały szereg zobowiązań, które dotyczyły zarówno uporządkowania i technicznego udoskonalenia warsztatu, jak też urozmaicenia i wzbogacenia form pracy, podniesienia lub uzyskania

kwalifikacji zawodowych, zwiększenia liczby czytelnicy i wypożyczeń.

W ramach tych akcji bibliotekarze, przy współudziale innych placówek oświatowych i organizacji społecznych, zorganizowali szereg ciekawych imprez czytelnicy — odczyty i prelekcje na tematy związane z obchodami Tyśiąclecia Państwa Polskiego i wychowaniem, techniką, oświatą sanitarną, kształceniem estetycznym — wystawy, pokazy, wycieczki itp. W bibliotekach dziecięcych prowadzono prace związane z turniejem geograficznym „Poznaj świat” oraz z konkursem przyrodniczym i historycznym.

Szczególnie wyróżniały się tu filie dziecięce w Lublinie, Świdniku i Lubartowie.

Przy wielu bibliotekach powstały Koła Przyjaciół Bibliotek.

Wszystkie te akcje przyczyniły się w dużej mierze do szerszego zainteresowania społeczeństwa pracą bibliotek, a w konsekwencji do zwiększenia liczby czytelnicy i wypożyczeń, zwłaszcza literatury popularno-naukowej. Najlepsze wyniki uzyskały biblioteki powiatowe i miejskie w Lubartowie, Lublinie, Bełżycach i Opolu oraz filia Nr 9 w Lublinie (ZOR-Bronowice), która pierwsza wprowadziła nową formę — wolny dostęp do półek.

Z bibliotek gromadzkich na czołowym miejscu znalazły się Przewłoka (powiat parczewski), Radecznicza i Zwierzyniec (w powiecie zamojskim), Trzcianiec i Niemce (w powiecie lubartowskim), Aleksandrów i Wojcieszków (w powiecie łukowskim), Osiny i Zyrzyn (w powiecie puławskim), Palikije i Krężnica (w powiecie bełżyckim).

Duży wkład w tych osiągnięciach mają pracownicy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego, a szczególnie Działu Instrukcyjno-Metodycznego oraz Informacyjno-Bibliograficznego, — którzy wiele tych prac inicjowali, a w realizacji okazali placówkom niższego szczebla stałą pomoc. To samo należy powiedzieć o kierownikach i instruktorach bibliotek powiatowych w odniesieniu do pomocy bibliotekom gromadzkim.

Nie trzeba tu udawać, że obok wszystkich czynników kształtujących sytuację w rozwoju czytelnictwa i stawiających biblioteki w rzędzie placówek oświatowych — decydującą rolę odgrywa przede wszystkim bibliotekarz.

Większość kadry bibliotekarskiej to ludzie, którzy oddają się pracy z

pełnym zaangażowaniem, mimo bardzo trudnych jeszcze warunków, w jakich realizują postawione przed nimi zadania. Ci, którzy trafili do bibliotek przypadkowo, po niedługim czasie odeszli do innych placówek. Pozostali — to ofiarni, wypróbowani pracownicy, którzy codziennym swym trudem zdobywają zaufanie i uznanie swego środowiska i z wolna budują autorytet placówki i zawodu bibliotekarza, który nie ma jak inne dłużej tradycji.

Bibliotekarze uzyskują kwalifikacje zawodowe przed przystąpieniem do pracy w liceach bibliotekarskich lub w Rocznym Studium Bibliotekarskim w Jarocinie, bądź też po zaangażowaniu w bibliotece — na kursach stażowych i korespondencyjnych. Wielu z nich wiedzę zawodową zdobywało kosztem licznych wyrzeczeń, kierując się jedynie zamiłowaniem do tej pracy i wielkim optymizmem. Wydatnej i chętniej pomocy udziela im Wojewódzki Ośrodek Konsultacyjny przy WIMBP w Lublinie.

Dobrze się więc stało, że w ramach dorocznego obchodu Dni Oświaty, Książki i Prasy wyodrębniono po raz pierwszy w tym roku „Dzień Bibliotekarza”, którego celem było ukazanie roli bibliotek i bibliotekarzy, dorobku ich pracy, popularyzacji wśród społeczeństwa najciekawszych sylwetek, wyróżnianie i nagradzanie przez władze centralne i terenowe najbardziej zasłużonych.

Takie dowody uznania stanowią najlepszą zachętę do dalszych wysiłków, a dotychczasowe osiągnięcia wskazują równocześnie, jak wiele jeszcze pozostaje na tym odcinku do zrobienia.

W związku z pojawieniem się coraz nowej problematyki w nauce, szybkim wzrostem tempa życia, nie spotykanym dotychczas rozwojem rynku wydawniczego i całej masy nowych środków przekazywania wiadomości — biblioteczna działalność oświatowa musi opierać się na tych wszystkich czynnikach i wypracować najskuteczniejsze formy działania.

W realizacji zadań upowszechniania czytelnictwa konieczna jest jednak zwiększona pomoc materialno-finansowa dla bibliotek ze strony władz terenowych i korzystniejszy jeszcze niż dotychczas klimat.

14.VIII.61 r.

Genowefa Madoniowa

WALDEMAR Babinicz jest nie od dziś zagorzałym rzecznikiem tzw. prowin-cji, o czym doskonale wiedzą czytelnicy „Kamery”, „Orki” i czolowych tygodników literackich. Nauczyciel i działacz kulturalny — od lat uprawia publicystykę, w której uparcie informuje opinię publiczną o tym, co dzieje się w Polsce oświatowej i parafialnej. Pisze o tym ktoś, dla kogo owe sprawy są doskonale znane, bo stanowią jego chleb codzienny. Babinicz tkwi bowiem na kieleckiej prowincji do-brych kilkanaście lat i nie, co się tam dzieje, nie uchodzi jego uwadze. Rzecz jasna, że doświadczenia wsi kieleckiej mają znaczenie ogólniejsze, a obraz polskiej prowincji naszkicowany w znanych „Listach z parafii” z grubszą przyłgą do każdej sytuacji, zwłaszcza do lubelskiej.

Po „Listach z parafii” i „Złotej Wodzie” otrzymaliśmy ostatnio nową książkę Waldemara Babinicza „Apostolowie”, oczywiście metaforyczny, często jest w

APOSTOŁOWIE POLSKI POWIATOWEJ TADEUSZ KŁAK

książce uzasadniony. To nie tylko inne określenie Słaczek i Judymów, nie tylko określenie fanatyka jakiejś sekty. Dla książki Babinicza dwa znaczenia są najważniejsze: jedno najwyklesze — Apostolowie to nazwisko całej rodziny nauczycielskiej z tytułowego opowiadania. Występują w nim trzy przedstawiciele z różnych pokoleń, przedstawiciel najstarszego nazywa się Piotr Apostol. Samo nazwisko charakteryzuje bohaterów Babinicza, przydaje im także przenośne znaczenie. Każdy z nich — ojciec, syn i wnuk to przecież apostołowie-nauczyciele. Autor pokazuje na przykładzie dziełw rodzu Apostolów, jak zmienia się typ współczesnego apostoła oraz treść i sposób apostołowania. Pod tym względem syn bardzo się różni od ojca, a wnuk od dziadka.

W „Listach z parafii” Babinicz spoglądał na wiele spraw wsi równocześnie. W „Apostolach” zwraca pole widzenia, pogłębia problem w jednym kierunku. Interesuje go wiejski i malomiasteczkowy nauczyciel, jego sytuacja społeczna, związek ze środowiskiem i oddziaływanie na niego. Kim nauczyciel jest dzisiaj? Od czego zależy jego autorytet? Co się na ten autorytet składa? Autor nie daje gotowej odpowiedzi, podsuwa tylko materiał, który podaje odpowiedź jednoznaczna. Gdyby taką odpowiedź tutaj sformułować, zabrzmiałaby zupełnie banalnie, bo była wielokrotnie powtarzana w prasie kulturalnej. Wiadomo bowiem, że Słaczka przegrana już dawno, a jej następcy łatwo mogą stać się posmiwiskiem i skończyć karierę z tytułem dziwaka. Taki los spotyka entuzjastę Zeromskiego, Celnę Mularczyk z opowiadania „W Strawczyńskim kłó”.

Jest ona bezradna ze swą anachroniczną wiedzą wobec kilkunastolet-nich chłopców, którzy żyją w innym świecie. Oczywiście, wiedzę się będzie cenić, ale musi ona być całkiem współczesna, przede wszystkim służąca praktyce. Ale społeczeństwo wiejskie, a zwłaszcza wiejska

„Zagrajcie nam spod Zamościa mazura...”

ELŻBIETA ROSIAK

Twórczość ludowa od dawna urzekala i urzeka do dzisiaj swoją świeżością, oryginalnością i prostotą. Szczególnie dotyczy to muzyki i piosenek ludowej. Wystarczy, by na ulicach pojawiły się afisze reklamujące występy zespołu pieśni i tańca „Słask” czy „Mazowsze”, a natychmiast przed kasą sprzedająca bilety ustawia się kolejka. Popularność i powodzenie naszego tańca ludowego i pieśni są równie wielkie w kraju, jak i za granicą. Dla nas mieszkańców Lubelszczy-

ny, jest rzeczą szczególnie przyjemną, że mamy na tym polu duże osiągnięcia. W historii kultury naszego regionu na szczególne wyróżnienie zasługują obchodząca obecnie osiemdziesiątka swego istnienia Włościańska Orkiestra im. Karola Namysłowskiego. Temu właśnie zasłużonemu zespołowi poświęcona została ostatnio wydana przez Wydawnictwo Lubelskie książka Aleksandra Bryka pt. „Karol Namysłowski”.

Orkiestra włościańska została założona przez Karola Namysłowskiego w Chomiczkach, w pow. zamojskim, w r. 1881, a więc w czasach, „kiedy w zaborze rosyjskim nie wolno było niczym symbolizować bytu narodowego, kiedy lud polski w kostiumach był na indeksie, a melodia pieśni polskiej ścierała policję, tropiącą ślad rewolucji”. A przecież jednak piękno naszej pieśni oczarowało nawet cara Aleksandra III, który po dwóch koncertach w dowód uznania dał zespołowi pisemne zezwolenie na występy zespołu na terenie całego imperium rosyjskiego. W ten sposób Karol Namysłowski ze swoją orkiestrą stał się niejako ambasadorem polskiej kultury narodowej i pokonując tysiące przeszkód organizował występy mające na celu „krzepienie serc”.

Monografia zespołu, który ma za sobą bogatą przeszłość, kryje w sobie duże wartości poznawcze, ponieważ Aleksander Bryk odtworzył dzieje orkiestry na podstawie najrozszerzonego materiału, a więc recenzji z czasopism, listów, archiwaliów oraz wiadomości zaczerpniętych od członków zespołu, a także i rodziny Namysłowskiego. Dzięki temu mógł ukazać Karola Namysłowskiego jako człowieka z krwi i kości, łączącego w sobie nerw twórcy z ogromnymi zaletami charakteru: dobrocią, szlachetnością, demokratycznymi poglądami, nieugiętością w dążeniu do wytkniętego celu, co pozwoliło mu stworzyć sobie „w społeczności chomiczkiej wyjątkową aurę zaufania”. Podziw wzbudza ten twórca orkiestry, który z nieugiętym uporem czynił starania u cara o pozwolenie na wyjazdy i koncertowanie w kraju i poza jego granicami. Bezgraniczne oddanie się zespołowi musiało się odbić na jego twórczości i życiu osobistym. Mimo pracowitości Karol Namysłowski — twórca 219 kompozycji nie zdobył się na jakiegokolwiek formy muzycznej. Ponieważ z kart książki przebiega wyrażnie zaangażowanie emocjonalne autora we wszystkie sukcesy i zwycięstwa, a także niedole orkiestry, w umysł czytającego tworzy się przyjemny obraz kolektynu dbającego o systematyczne podnoszenie poziomu wykonania utworów, kroczącego z polską melodią ludową przez dziesiątki i setki miast w kraju, a podbój Europy i dalej — za Ocean — na deskę Metropolitan Opera House w Nowym Jorku. Książka napisana została bardzo przystępnie i zajmująco, łącząc w sobie pracę popularno-naukową, z szatą znamionującą dzieło literatury pięknej. Praca została bogato ilustrowana fotografiami Karola Namysłowskiego i jego rodziny, zdjęciami



Orkiestra przed budynkiem poczty w Chomiczkach 1884 (ze zbiorów Henryka Zwolakiewicza)

(Dokończenie na str. 10)

...młodzież, potrzebuje dziś innego nauczyciela. Nie tylko zaszklonego w książkach, cięła. Nie tylko zaszklonego w przeszłości i tradycji, ale zapatrzonego o nowoczesnej świadomości, szczególności zainteresowaniach, zrozumieniu roli rokowań i autorytetu. A często rozstrzyga o autorytecie nauczyciela wśród młodzieży posiadanie „Jawny” czy „Junaka”. Chłopakowi wiejskiemu to, a nie książka zaimponuje, zdecydowanie o przewadze nauczyciela.

Wnioski, jakie nasuwa materiał dostarczony przez Babinicza, są i szersze, i liczniejsze. Dotyczą one nie tylko samej osoby nauczyciela, treści nauczania, ale sytuacji miłości, treści życia i wsi w ogóle. Dowodzą one wielkiej dynamiki, jakiej ona podlega, i niewielkiej pogoni wsi za wszystkim, co ma cywilizacja, a czego symbolem niech będzie ta pralka, motor czy telewizor, a nawet kolorowe pończochy.

Autor „Apostolów”, siedząc to, co nowe na wsi, nie zapomina o tym, co dawne, reaktywne, obserwuje konflikt nowego ze starym. Ten konflikt dotyczy różnych przeobrażeń życia społecznego: religii, obyczajów, wzajemnych ludzkich stosunków. W podjęciu tych tematów nie jest Babinicz mowcą. Pewnie, że zamiast pełnego doktrynerem. Pewnie, że zamiast pełnego obrazu daje czasem karykaturę, powagę obrazu na groteskę, rzeczowość na zgrzyżenie. Ale najważniejszy jest dla niego fakt, bystra obserwacja, niemal reporterski zapis ciekawych choć typowych sytuacji. Kiedyś mogą być reportaże Babinicza nie-tylko dokumentem społecznym, dziś są do-tylko publicystyką. Nazwałem tu utwory Ba- binicza reportażami. Czy słusznie? Chyba nie. Bo ich siła tkwi w samej autentycz- ności różnych sytuacji, w wiernym obrazie prawdziwych wydarzeń. Bez trudu rozpo- znajemy tu i ówdzie osobę autora, kierow- nika Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy, i jego młodych wychowanków. Na każdej stronie „Apostolów” widać znamię osobi- stego przeżycia i doświadczenia.

Gorzej jest, gdy autor zdradza autentycz- ność literatury. Powstają wtedy utwory nieudane, nieciekawe, które ku niczemu nie zmierzają i z których nic nie wynika. Ale to się dzieje rzadko. Babinicz jest bowiem urodzonym narratorem, umie podszycać się pod rozmaite postacie, obdarzać je nowym zyciem, świetnie indywidualizować ich i-ry-tyk. Przy tym autor obdarzony jest poczuciem humoru, który przejawia się na każ- dej stronie jego prozy. W „Apostolach” po- kazany jest kawał naszego życia. Wszystko wskazuje na to, że Babinicz przygotowuje się do napisania bohaterkiej sagi polskiej prowincji.

Tadeusz Klak

Waldemar Babinicz: Apostołowie. Wyd. Łódźkie, 1961.



E. Waleszyński — Martwa natura z owocami (olej)

BARDZO nie lubię dołonywać bocen, a już najgorsze są wszelkiego rodzaju podsumowania. I gdy pewnego razu ktoś mnie zapytał, jakie wystawy były moim zdaniem ostatnio najciekawsze, wprowadził mnie tym samym w stan grubego za-

kłopotania. Gdybym był szczerzy, musiałbym odpowiedzieć, że najbardziej interesujące rzeczy można zobaczyć nie na wystawach, które mają cha- rakter oficjalny, lecz w pracowniach artystów, myślę jednak, że ta odpo- wiedź nie zadowoliliby mojego roz-



J. Olejnicki — Art (olej)

mówcy. Więc cóż? Były eksperymentalne pokazy w klubie „Zamek”, między innymi bez najmniejszego echa przeszła wystawka Henryka Stażewskiego, jednego z największych polskich malarzy współczesnych. Pokazy na Zamku to jednak sprawa odrębna, trzeba będzie do niej powrócić innym razem: obok Stażewskiego — Ziemiński, Durakiewicz, Kwerko, Sawicki — a więc ci, którzy robią największy ferment, o których najbardziej warto dyskutować, tu bowiem przede wszystkim

(Dokończenie na str. 10)

WALEZYŃSKI KURZĄTKOWSKI
OLEJNICKI

Onorate l'altissimo poeta

(Dokończenie ze str. 5)

Dumny Dante mówi o swych losach w kształcie przepowiedni post eventum:

Więc jak wygnany niegdyś Hipolita
Z Aten macochy niecne obyczaje,
Tak i ty wyjdiesz z Florencji banita.

Już tego pragnie ktoś i już nastaje
Na cię i wnet się twą krzywdą nasyci
Pan ziem, gdzie co dzień Chrysta się sprzedaje*

Winę, jak zwykle, poniosą pobici,
Lecz pomsta, która za zbrodnią ugania,
Wyda, po której stronie prawowici.

Najprzód porzucisz najśrodsze kochania:
To pierwsza będzie twych losów przynagody
Strzała puszczona po łuku wygnania.

Poznasz następnie, jakie gorzkie gody
Spotywać cudzy chleb; jak uciążliwa
Droga wstępować na nieswoje schody**.

Szczególnie wymowna jest ta ostatnia, sławna ter-
cyna w brzmieniu oryginalnym:

Tu proverai si come sa di sale
lo pane altrui, e come è duro calle
lo scendere e 'l salir per l'altrui scale.

Był gorącym patriotą, nieprzejednanym wrogiem anarchii feudalnej i egoistycznego partykularyzmu państw miejskich, godził ostrym słowem w rozpustę, pychę, chciwość, zezwierzęcenie. Wszedł w drogę małosłownym ambicjom karierowiczów. Waśnie „Czar-nych” i „Białych” i porażka odłamu, do którego należał, przyniosły mu niezmiernie gorzkie. Wyro-kiem 27 stycznia r. 1302 nowe władze rodzinnego miasta skazują go na konfiskatę majątku i dwuletnią banicję. W dwa lata później zapada drugi wyrok, skazujący na spalenie żywcem w wypadku, gdyby postawił stopę na bruku florenckim. Nie dość tego: gdy w r. 1311 ogłasza się amnestia dla banitów, Dante jest z niej wyłączony. I wreszcie — szczyt zawziętości: w roku 1315 namiestnik króla napoli- tańskiego we Florencji skazuje Danta i jego synów na ścięcie — gdyby kiedykolwiek zostali ujęci.

„Poeta, Florentyńczyk z krwi i kości, błąka się po obcych miastach. Weroną, Padwą, podobno nawet Pa- ryz — Luccą, znów Weroną. W końcu ostatni etap życia — Rawenna. Gościna u Gwidona z Polenty. Przyjaciela i towarzysza broni w bitwie pod Cam- balino.

Gdyby się jednak wszystko mogło odstać, stałoby się na nowo, bo zdecydowanie, namiętny, gardził poeta sładem nijakich i technicznych. W „Boskiej Komedii”

* W Rzymie papieskim.
** „Boska Komedia” — Raj, pieśń XVII, przekład Edwarda Portkowicza.

zamknięte są przed nimi bramy rajskie i piekło również odrąca „dusze miernie, które bez hańby żyły i bez cześci”

Samotność na obczyźnie, z dala od wszystkiego, co się ukochało w najmłodszych latach, taki jest koszt „Boskiej Komedii”. Powstała w latach wygnania, jak większość dzieł Dantego. Niezbadana moc twórczości przemieniła gorzkość jego cierpienia w dołce stil nuovo niezłiszczalnej poezji.

Takie myśli nawiedzają turystę w mieście włoskim Rawennie. A potem kochamy poetę do końca swego życia i chwile spędzone w tym mieście pozostają jed- nym z najpiękniejszych naszych wspomnień.

Maria Bechezye-Rudnicka

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Miasto

Po promieniu słonecznym, po tęczy
idę chwycenie do mojego miasta.
Uwierz serce, zmęczone serce,
że wracam.

Uwierz w to, że czas się przekreśli,
gdy cień rzeki srebrnej zakwitnie
i już życie nie zaboli cię więcej.
człowieku, zakochany w Wiśle.
Po siedmiu kolorach, po niebie,
po latach cierniowych, po krzywdzie
wracam, Warszawo, do ciebie
i lamie kij pielgrzyma.
Łka radość we mnie. I lka żal,
piaczą lata młodości wależącej:
(ak beze mnie cierpiałas, Warszawo —
grodzie wiecznej miłości i wojny.

BRONISŁAW KAMIŃSKI - DUROCHER

Twarze zmieniają się jak krajobrazy
pociąg dni wybija nieustanny rytm miłania
a człowiek wśród stacji odrycha i marzy
i pragnieniem świat sobie zasłania

Ulice moja prostokątny świecile form
gdzieś idę przechodząc wśród tyłu przechodniów
wykrzyknik przy strasznej samotności O
który wiatr zbudował i podniósł

Czemu więc słowo moje nie jest słowem ludzi
na moje pozdrowienie nie odpowiadają sąsiedzi
nikt się razem ze mną nie zbudził
nikt nie wyszedł mi naprzeciw

Mijam więc zagubiony niepotrzebny
jak świst pociągu w szczerzym polu
żał się śmieje do mojej bledy
a niebo przygniata jak ojów

Ludowe pieśni miłosne Ziemi Chełmskiej

(Dokończenie ze str. 3)

Obok pięknych powabnych pieśni miłosnych znaj-
dują się także piosenki erotyczne o charakterze fry-
wolnym, jak na przykład ta z Wólki Okopskiej, zapi-
sana w 1960 r. przez F. J. Korzeniowskiego i przedsta-
wiająca rozbawioną pannę, która postanowiła hulać
w karczmie z chłopcami całą noc.

Nie pójdę do domu,
aż będzie świtało,
nie mam maleńkiego,
nie będzie płakalo.
Nie pójdę do domu,
aż będzie dzień widny,
to ludzie powiedzą,
że z kościoła idę.
Niech ta idzie do dom,
co ma dziesięciuro,
w każdym kątku
po dziesiątku,
na piecu sześciuro.

Do niezwykle wesołych, zabarwionych czasami sa-
tyrą, należą przyspiewki weselne spod Czulczyc.
Według przyjętego na terenie Ziemi Chełmskiej zwy-
czaju w czasie uczty weselnej kobiety i dziewczęta
przyspiewują młodym i kawalerom, którzy w formie
śpiewek odpowiadają. Im więcej tych śpiewnych
pogwarek, tym wesele jest lepsze, a ucztujący bardziej
rozbawieni. Oto niektóre przyspiewki:

- 1) Z tamtej strony Buga
chłopiec do mnie mruga,
poszłabym za niego,
ale idzie druga.
- 2) Oj, nie śpiewaj, nie śpiewaj,
boś się wyspiewała,
wytrzej lepiej nosa,
boś się usmarkała.
- 3) Zaćwierkotał ptaszek na wysokiej śliwce,
głupi ten kawaler, co funduje dziwce,
co funduje dziwce, cukierki kupuje,
a jak się ożeni, kartofla szkodzi.
- 4) W stodole, w zapoju, na prosowisku,
nie umiał pokochać, dostał po pysku.
O, widzisz, duraku, jak to panna bije,
nie umiesz pokochać, nie bierz ją za szyję.
- 5) Po zielonej łące latają zajace,
pytają się chłopcy, czy ja mam tysiące.
Choć tysięcy nie mam, ale będę miała,
spytaj się ty, durniu, czy cię będę chciała.
- 6) Nie śpiewaj, nie śpiewaj, bo ja cię nie proszę.
Ja twoje śpiewanie pod bucikiem noszę.

Więc chełmska kryje w sobie jeszcze nieprzebrane
bogactwo etnograficzne.

Longin Jan Okoń



J. Kurzątkowski — Lubartów 1929 (linoryt)

WALESZYŃSKI KURZĄTKOWSKI OLEJNICKI

(Dokończenie ze str. 9)

kim powstawały nowe propozycje już nie tylko obrazów, ale przestrzeni, która kiedyś kształtować będzie architekturę naszego miasta. Szkoda, że nie wydawano katalogów tych wystaw. Bardzo możliwe, że byłyby one kiedyś cennym dokumentem przemian chwytnych na gorąco.

Z DUŻYCH wystaw oficjalnych warto wymienić na czele pośmiertną ekspozycję prac Eugeniusza Walezyńskiego (1907—1959). Była to moim zdaniem najlepsza tego rodzaju wystawa ostatnio w Lublinie. I to zarówno pod względem klasy tego malarstwa, jak i świetnej organizacji samego pokazu. Piękny katalog z kolorowymi reprodukcjami można jeszcze nabyć w księgarniach.

Nic też dziwnego, że wystawa ta wywołała szeroki oddźwięk zarówno w Lublinie, jak i w Warszawie (pisał o niej Ignacy Witz w „Życiu Warszawskim”). Wspominam ją zresztą nie bez pewnej satysfakcji, byłem bowiem przed laty jednym z bardzo nielicznych krytyków lansujących uporczywie twórczość tego artysty w „Kamieniu” i „Sztandarze Ludu”. Gorzka to jednak satysfakcja. Trzeba było aż śmierci Walezyńskiego, by zdobył on powszechne uznanie lubelskiego świata kulturalnego. Ale w tej dysproporcji ocen między siłą i siłą, która ją przewidywała, bardzo stara prawdziwość. Rozejrzyjmy się dobrze wokół, czy nie ma wśród nas innego Walezyńskiego.

Walezyński był człowiekiem. Trudnym. Przychodził na wystawy, oglądał i nie mu się nie podobało. Świetnie pamiętał słowa Baudelaire'a: „Pierwszą sprawą artysty jest podporządkowanie przyrody człowiekowi i protest przeciwko niej. Każde prawdziwe dzieło sztuki jest w jakimś sensie kłamstwem, ale kłamstwem twórczym. Twórczość musi być świadoma, nie ma przypadku w sztuce”. Walezyński malował prawie wyłącznie martwe natury. Były to pudełeczka, pojedyncze owoce, drobne przedmioty pochodzące z kolekcji artysty kompletowanej nie rzadko na śmietnikach. Świat przedmiotów był jednak starannie ograniczony tylko do tych ulubionych. Układał je artysta w najrozmaitsze warianty, które z matematyczną dokładnością organizowały mu płaszczyznę obrazu, wyznaczały stosunki ilościowe i

zależności między przedmiotami, ustalały podstawowe proporcje przestrzeni malarzkiej. Prawdopodobnie to samo robił rzeźbiarz grecki tworząc podziałowe kanony budowy ciała ludzkiego, przez które chcieli wyrazić ogólną matematyczną harmonię świata. I pewnie o to samo chodziło Walezyńskiemu: Stawiałem, tylko że ci do nowego podziału przestrzeni użyli form abstrakcyjnych.

Żeby zrealizować swoją ideę harmonijnego obrazu, Walezyński eliminował wszystkie niepotrzebne efekty, jaskrawe barwy, połysk, całą wspaniałą materię i urodę przedmiotów. I tak właśnie powstawały ascetyczne układy proslutkich drobiazków na szarych matowych tłach. Ale to był nieco inny świat, poza którym rzeczywistość mogło się Walezyńskiemu wszystko nie podobać.

W CZERWCU i lipcu odbyła się w CBWA inna wystawa pośmiertna — Juliusza Kurzątkowskiego (1888—1952). Artysta był zarówno swą twórczością jak i poprzez różnorodną działalność postacią związaną trwale z Lublinem, gdzie zamieszkiwał od roku 1929, biorąc udział w wystawach plastycznych, ilustrując liczne wydawnictwa i prowadząc pracę pedagogiczną.

Wypowiadał się przede wszystkim w grafice i rysunku, choć także malował i projektował scenografię. W przeciwnieństwie do Walezyńskiego tutaj zasadniczą rolę odgrywała wyobraźnia i fantazja twórcza. Spod rylca artysty wychodziły stare „Zamki” i „Cerkwie”, średniowieczne miasta, „Diabelskie sądy” i „Don Kichoty”. W swej grafice Juliusz Kurzątkowski nawiązuje do stylizowanych, dekoracyjnych form sztuki ludowej. Podobnie zresztą postępują i inni artyści dwudziestolecia międzywojennego zbliżeni do ugrupowań „Formistów” i „Rytmu”. Sztuka Kurzątkowskiego dzięki swej bajkowości i specyficznej ekspresji posiada dość jednak indywidualny charakter. Technika linorytu i akwaforty doprowadzona tu została do dużej subtelności jasnych i czystych kresek i płaszczyzn. Dobrze się stało, że pokazano nam jeszcze jednego niestety zapomnianego artystę.

I WRESZCIE wypada omówić twórczość malarza, który żyje, należy do młodego pokolenia i

wystawia właśnie w CBWA. Jest nim Jarosław Olejnicki z Nałęczowa. Demonstruje głównie olej, częściowo akwarele i rysunki. Są to pejzaże, portrety, martwe natury i kompozycje figuralne.

Kiedyś w jednym z artykułów zwróciłem uwagę na zjawisko plastyczne, które można określić jako „lubelską szkołę koloryzmu”. Jest to odmiana tego kierunku wystudiowana głównie na pejzażu Kazimierza i okolicy, reprezentowana przez Karmańskiego, braci Kononowiczów i Filipiaka. Nałęczów leży niedaleko Kazimierza, nie też dziwnego, że i Olejnicki, będąc pod wrażeniem niezwykłych uroków tych krańców, dołączył do tamtych malarzy. Namalował cały szereg pejzaży z natury, do czego nie potrzebował zbyt wielkiej odwagi, co również nie utrudniało jeszcze artyście jego własnej drogi. Olejnicki namalował te pejzaże po prostu wrażliwie, tak jak mu dyktowała zmieniająca się w strugach światła natura. Postawa taka świadczyła o szczeroci, nie wyczerpywała jednak wszystkich możliwości ambitnego przeciwy artysty. Zaczęły się więc próby stopniowego uwalniania się malarza spod władzy natury, która stawała się coraz to bardziej zaborcza wobec niego. Ale jak od niej uciec? Olejnicki wpadł dotychczas na dwie koncepcje. Pierwsza polegała na uproszczeniu i uporządkowaniu form, jak w jednym z jego ostatnich portretów kobiecych lub jednym z aktów. Druga była ekspresyjną trawersacją kształtów natury, które zaczęły się wykrzywiać i deformować na obrazie. Takie są „Pola”, „Morze” i „Sandomierz”. Zarówno jeden, jak i drugi nurt jego twórczości zmierza wyraźnie w kierunku syntetyzowania form i kolorów w jedną organiczną całość. Ciekaw jestem, co będzie dalej, bo tu się chyba zaczyna jeszcze wprawdzie bardzo skromny, ale — początek własnej drogi, choć to brzmi tak bałafnie.

Jerzy Ludwiński

„Zagrajcie nam spod Zamościa mazurę...”

(Dokończenie ze str. 8)

występów orkiestry, fotokopiami partytur, nagrania, jakie otrzymał zespół, zagrał itd. W książce tej znajdzie czytelnik nie tylko zbeletryzowaną historię zespołu i materiały do życia i twórczości jej założyciela, ale także bardzo bogaty dział, na który składają się fragmenty recenzji i „losy pracy z różnych lat”, cenną próbkę „obrony” pełnej bibliografii kompozycji Karola Namysłowskiego (przy czym autor daje zarówno chronologiczny, jak i alfabetyczny spis kompozycji, prawie we wszystkich przypadkach podając datę powstania utworu) oraz analizę niektórych utworów charakterystycznych dla twórcy Orkiestry Włocławskiej. Książkę zamyka bibliografia wraz z imiennymi spisami członków orkiestry z różnych lat i indeksem nazwisk. Zasluguje na wzmiankę także interesująca okładka, której autorem jest znany lubelski artysta-grafik Krzysztof Kurzątkowski.

Niezależnie od zalet książki trochę dziwnym wydaje się fakt, że nosi ona tytuł „Karol Namysłowski” chociaż traktuje nie tyle o nim, ile o jego orkiestrze.

Wydana została książka bardzo potrzebna. W chwili, gdy obchodzimy 1000-lecie Państwa Polskiego, wydobywanie z mroków zapomnienia najpiękniejszych tradycji kulturalnych naszego regionu należy do rzeczy jak najbardziej godnych pochwały.

Kończąc książkę Aleksander Bryk tak pisze o tej bodaj najbardziej znanej w kraju, autentycznej wiejskiej orkiestrze: „Mała, zagubiona gdzieś w Lubelszczyźnie wioska, dzieło Karola Namysłowskiego podniosło do rangi jednego z ognisk kultury muzycznej w kraju, kuźni samorodnych talentów. Miano Namysłowskiego stało się synonimem rzetelnego muzyka wyrosłego z ludu.

Z Chomeńsk w świat — niedaleko. Wkrótce wyruszą w nową podróż, znajdą słuchaczy wszędzie. Zagrają symfonie i zadrzewią się audytorium, że tak potrafią grać prości chłopcy. Ale na „bis” na pewno zagrają mazurą. Starego, słynnego mazura Karola Namysłowskiego!”

Na zakończenie wypadałoby życzyć, by Lublin jak najszybciej mógł gościć zespół, który w dniu 4 listopada obchodzić będzie swój jubileusz. A może wręcz po Warszawie, Wałbrzychu i Zamościu również i w naszym mieście jedna z ulic otrzyma nazwę twórcy zasłużonego zespołu? Chociaż wydaje się, że raczej łatwiejsze do wykonania jest pierwsze zadanie — sprowadzenie orkiestry do Lublina. Drugie jest chyba niezmiernie trudne, skoro prasa lubelska, a zwłaszcza „Kamień”, upomina się bezskutecznie od wielu lat o ulicę im. Józefa Czechowicza.

Elżbieta Rosiak

Aleksander Bryk: Karol Namysłowski Lublin 1961. Wydawnictwo Lubelskie, s. 153, 3 nrb. Cena 15.— zł.

NAGŁY ZGON ANDRZEJA STAWARA to niepowetowana strata dla naszej literatury. Po dłuższym okresie mielenia pisarz marszowski, który już w przedwojennym „Dziwni” i „Miesięczniku Literackim” zapowiadał się jako niepospolity krytyk, w r. 1958 obdarzył nas znakomitymi studiami o Boyu, Sienkiewiczu, Gałczyńskim i Brzozowskim. Odszedł w 68 roku życia. Brak jego nazwa niezbyt bogata krytyka literacka odczuje poważnie.

LIPCOWY NUMER „TWÓRCZOŚCI” przynosi m. in. dwie szczególnie interesujące pozycje. Pierwsza to wstrząsające opowiadanie Ryszarda Kozielskiego o zagładzie Żydów czeskich w Oświęcimiu pt. „Trzeba głęboko oddychać”, nagrodzone na konkursie Polskiego Radia. Autor sam nie był w obozie. Przebywając obecnie w więzieniu poznał w nim osiadłego wyrok dożywni głównego „kwatera” tego utworu, funkcjonalnego „kwatera Franka”, od którego zaczerpnął do swego opowiadania najprawdziwsze realia. Hotul, omawiając przed paru miesiącami w „Życiu Literackim” wyniki wspomnianego konkursu, ocenili tę pracę bardzo wysoko. Rzeczywiście, pióro Kozielskiego jest świetne. Ma on zamiar, jak się dowiadujemy z reportażu Jacka Stwory („Życie Literackie” nr 33) napisać książkę o obozie w Oświęcimiu „Piekło było moim królestwem”, a obecnie kończy w więzieniu dla wydawnictwa MON wspomnienia o swoich bogatych przeżyciach wojennych pt. Powrót bez sztandarów”. Druga interesująca pozycja w „Twórczości” to „Zniknięcie Moony Lizy” Mieczysława Porębskiego, stanowiąca rozdział wstępny książki o sztuce XX wieku, której ukazania się będziemy oczekiwali z niecierpliwością.

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ. W reportażu Jerzego Zakrzewskiego „Słońce wschodzi pod kątem prostym” („Świat” nr 33) czytamy o Tebach egipskich: „Opiewane przez Homera Teby jako miasto o stu bramach są dzisiaj zupełnie martwe”. Teby miały siedem bram i autorowi pomieszała się Grecja z Egiptem.

TEN SAM AUTOR w reportażu „Tam, gdzie niedziela wypada w piątek” („Świat” nr 33) posługuje się taką polszczyzną: „za wyjątkiem” (str. 4, spz. 1), „nie na cukrze, a na syropie z trzciny cukrowej” (str. 4, spz. 3), „ubrać na nogi wołki” (str. 5, spz. 3), „jakby nie było” (str. 5, spz. 3). Czyżby wszyscy adjustatorzy „Świata” wyjechał na letnie urlopy?

„LITERARNI NOVINY” w każdym numerze mają „Kącik językowy”. U nas, nie wyłączając „Kamienia”, żadne pismo literackie nie może się na to zdobyć. Bo i po co? My wszyscy tak pięknie pielęgnujemy nasz język...

PO CO MYLNIE INFORMOWAĆ? Z notatki w „Życiu Literackim” (nr 33, „Z kraju”), informującej o przyjęciu do Polski Paustowskiego, dowiadujemy się: „Jest to jego pierwszy od lat dziecięcych pobyt w naszym kraju”.

FRITZ VON UNRUH, liczący obecnie 75 lat, po raz trzeci opuścił ojczyznę. W swoim czasie emigrował z Niemiec hitlerowskich, później z NRE, do której wrócił. Obecny wyjazd pisarza jest manifestacją przeciw faszyzacji kraju.

NOWE WYDANIE WYKAZU KSIĄZEK NA INDEKSIE WATYKAŃSKIM obejmuje 500 str. i 4000 tytułów, wśród nich dzieła Bacona, Rousseau, Spinozy, Kanta, Balzaka, Flauberta, Stendhala, Zola, Hugo i in.

-kaj-

odpowiedzi
redakcji

Zdz. Wiatr, w Łańcucie. Z wierszy n. skorzystamy.

M. Kacz, w Komarowie. Fraszek w „Kamieniu” nie zamieszczamy.

J. Spr. w Lublinie. Moze w jednej z dalszych kolumn młodych.

S. A. L. w Lublinie. „Chopin” — jak wyżej.

KUPON NA UDZIAŁ
W III KONKURSIE
„KAMENY”
POD HASŁEM
„WIEDZA POMAGA W ŻYCIU”

Warunki Konkursu były podane w n-rze 15. Na życzenie Czytelników termin nadsyłania odpowiedzi został przedłużony do dn. 5.IX. Rozwiązanie Konkursu podamy w n-rze 17 (z dn. 15.IX). W odpowiedziach należy podawać także wyrazy pomocnicze.

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamień” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonuje się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544, Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 3263. 16.VIII.61. Nakład 1300. W-3.